Nr. 177. Lwów — Niedziela dnia 4 Sierpnia. Rok 1907.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 6 po południu z datą dnia następnego.
Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcznie 2 k. 50 h. w Niemczech [illegible] w innych Państwach [illegible] Za zmianę adresu dopłaca się 40 h. [illegible] Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. [illegible]

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje wyłącznie: [illegible] Ceny ogłoszeń: [illegible] Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Rękopismów Redakcya nie zwraca. Niefrankowanych listów nie przyjmuje.

Dziś: św. Dominika | Maryi Magd. — Jutro: NMP. Śnieżnej | Trofima — Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. — Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. — Wschód słońca o godz. 4 min. 10, Zachód „ „ 6 „ 49 — Długość dnia godzin 14 min. 39, Ubyło dnia od wczoraj 2 min.

Dr. Ignacy Ruber.

Urzędownie już ogłoszono nominacyę pierwszym prezydentem Najwyższego Trybunału (kasacyjnego) dra Ignacego Rubera, byłego ministra sprawiedliwości w pierwszym gabinecie bar. Gautscha i w gabinecie hr. Thuna.

Dr. Ruber nie należy do tych ludzi, którzy gonią za rozgłosem i szukają reklamy. To też jakkolwiek nazwisko jego trwale zapisało się w dziejach austryackiego sądownictwa i jakkolwiek w rozwoju nauk jurydycznych pośród austryackich wybitnych prawników należy mu się jedno z najpierwszych miejsc, to jednak ponieważ już od lat ośmiu pozostaje on na nieeksponowanem stanowisku, najprzód prezydenta senatu w Najwyższym Trybunale, a potem (od r. 1902) drugiego prezydenta tego Trybunału — nazwisko jego do rozgłosów w Austryi nie należy. Lecz gdyby ono komuś nawet zupełnie z pamięci wypadło, gdyby ktoś nie znał świetnej przeszłości dra Rubera, to na pewno te gwałtowne ataki całej radykalnej i liberalnej prasy wiedeńskiej na niego, które się dzisiaj pojawiły wraz z ogłoszeniem jego nominacyi, zwrócić musiały uwagę każdego, że ta nominacya oznacza coś znacznie większego, jak tylko samą zmianę osób na stanowisku pierwszego prezydenta Najwyższego Trybunału. A kto zna przeszłość dra Rubera, ten odrazu zrozumie, co zaszło: oto po Steinbachu, a wobec takich ludzi jak Unger i tych niesłychanie szkodliwych i zgubnych prądów, jak te które pod pozorem tendencyj humanitarnych ogarniają coraz bardziej judykaturę austryacką i dążą do zupełnego zachwiania poczucia prawa i sprawiedliwości w najszerszych masach, stanął na raz człowiek nietylko wielkiej wiedzy i poczucia sprawiedliwości, ale nadto niezwykle silnego charakteru, odznaczony śmiałością bronienia prawdziwej sprawiedliwości i którego silna i śmiała ręka znana jest doskonale żywiołom destrukcyjnym. Jeżeli Najwyższy Trybunał ma być tą instytucyą, która jest powołaną stanowić najwyższe palladium sprawiedliwości w państwie i być stojącym na wyżynie ducha czasu regulatorem poczucia sprawiedliwości u ogółu, to przeszłość dra Rubera daje zupełną rękojmię, że zgubne prądy, które dzisiaj coraz niebezpieczniej podgryzają fundamenta judykatury austryackiej, nietylko nie znajdą w nim patrona, ale napewno silną przeszkodę.

Pod tym względem dał się już dr. Ruber poznać doskonale. I jako minister sprawiedliwości, i jako prezydent senatu w Najwyższym Trybunale, a potem drugi prezydent tego trybunału okazał on się przedewszystkiem dzielnym obrońcą nienaruszalności małżeństwa katolickiego. Stanowczo i ze śmiałością wyznawania swoich religijnych przekonań opierał się wszystkim socyalistyczno-bezwyznaniowym zakusom naruszenia ochrony, jakiej prawo austryackie użycza sakramentalnemu charakterowi małżeństwa katolickiego. I w innych dziedzinach tak judykatury, jak i administracyi sprawiedliwości miał dr. Ruber odwagę śmiało występować przeciwko temu, co słusznie uważał za nadużycie. Pierwszym ważniejszym jego krokiem, jako ministra sprawiedliwości, było energiczne wystąpienie przeciwko nadużyciom adwokatów, wyzyskiwaniu przez nich chętki do pieniactwa w niższych warstwach ludności i narachowywania klientom kolosalnych kosztów. Wydane przez dra Rubera rozporządzenie, dotyczące obliczania kosztów adwokackich, kładące w sposób niezwykle stanowczy tamę wszelkim nadużyciom, zdobyło mu nieprzeliczonych wrogów wśród adwokatów. A dodać należy, że były to czasy pisemnej procedury, kiedy to procesy wlokły się latami; pisma procesowe nie miały końca i wypełniały kieszenie adwokatów. Drugim podobnym śmiałym krokiem była rozpoczęta przezeń akcya przeciwko udziałowi sędziów w partyjnej robocie stronnictw politycznych. Niezwykle energicznie przestrzegał on zupełnej politycznej bezstronności sędziów i wymagał dlatego od wszystkich urzędników sędziowskich, by zdala trzymali się od polityki. Oczywiście nie zyskiwało mu to sympatyi radykalnych stronnictw. Największą zaś nienawiść tych stronnictw zdobył sobie dr. Ruber trzecią przez siebie rozpoczętą i śmiało prowadzoną akcyą, a mianowicie przeciwko nadużywaniu wolności prasy i wogóle drukowanego słowa. Lata 1897, 98 i 99 — był to początek owej fatalnej ery w Austryi, w której rozpętany szowinizm, drobiazgowe nienawiści partyjne i rozpoczynający się rozrost partyj radykalnych, zaczęły zatruwać prasę w całej Austryi i uczyniły drukowany paszkwil najpospolitszą bronią polityczną i osobistą. Wtedy to dr. Ruber, widząc, na co się zanosi, z właściwą sobie energią surowo przestrzegał ścisłego wykonywania ustawy prasowej i tak zwanego objektywnego postępowania.

Najśmielszym jednak jego krokiem było zajęte przezeń w r. 1898 stanowisko wobec kwestyi językowej w sądownictwie. Oto gdy po upadku gabinetu Badeniego szowinizm święcił orgie, stanęła przed Najwyższym Trybunałem sprawa wydanego w kwietniu r. 1848 przez cesarza Ferdynanda rozporządzenia, przyznającego Czechom pewne, drobne zresztą, koncesye na polu językowem w sądownictwie. Wówczas szowiniści niemieccy parli na to, ażeby aktowi temu, jako wydanemu w czasie rewolucyi, odmówiono mocy obowiązującego prawa, jakkolwiek to cesarskie rozporządzenie żadnym późniejszym aktem zniesione nie było. Agitacya była wówczas tak szalona, iż zdawało się nie ulegać żadnej wątpliwości, że Najwyższy Trybunał jej ulegnie. Dr. Ruber jednak śmiało stawił jej czoło i pod jego to osobistym naciskiem Najwyższy Trybunał uznał moc prawną owego reskryptu cesarskiego.

Te zasługi dra Rubera dostatecznie usprawiedliwiają olbrzymią dla jego osoby niechęć radykałów. Wszyscy jednak ludzie rozumni i poważni z wielką radością przyjęli jego nominacyę, naówczas bowiem pewną jest gwarancyą, że zgubne prądy socyalistyczne i bezwyznaniowe, usiłujące obecnie podkopać podwaliny poczucia sprawiedliwości w państwie, a z niem wraz i etyki ogółu ludności — znajdą w nowym prezydencie Najwyższego Trybunału sędziego, który je sprawiedliwie i śmiało ocenić potrafi, jak należy.

* * *

Dr. Ignacy Ruber urodził się w roku 1845 w Bernie morawskiem, ukończył studya prawnicze w uniwersytecie wiedeńskim w roku 1868 i poświęcił się karyerze sądowej. W dwa lata później promowany na uniwersytecie w Grazu na stopień doktora praw, mianowany został adjunktem sądowym przy sądzie krajowym w Bernie morawskiem. Dnia 11 maja 1875 przydzielono dr. Rubera do służby przy sekretaryacie Najwyższego Trybunału, skąd powrócił do Berna najprzód jako substytut prokuratora państwa, następnie zaś w roku 1885 został mianowany radzcą wyższego sądu krajowego w Bernie morawskiem. Po upływie dwu lat przeszedł dr. Ruber do służby przy generalnej prokuratoryi w Najwyższym Trybunale. Następnie zajął stanowisko generalnego adwokata Trybunału kasacyjnego, a w r. 1896 został szefem sekcyjnym w ministerstwie sprawiedliwości. W lipcu 1897 powołany przez bar. Gautscha do gabinetu jako minister sprawiedliwości, piastował tę tekę aż do chwili upadku następnego gabinetu hr. Thuna, poczem zajął stanowisko prezydenta senatu w Najwyższym Trybunale. W grudniu 1902 powołany został do Izby panów, a po posunięciu dr. Steinbacha na stopień pierwszego prezydenta Najw. Trybunału, zajął opróżniony po nim fotel drugiego prezydenta, obecnie zaś ujął w swoje ręce naczelne kierownictwo tego Trybunału. Jako pisarz odznaczył się dr. Ruber na polu prawniczem kilku pracami, które zyskały poklask uczonych.

Korespondencye.

Wiedeń, 2 sierpnia.

(Echa zajść w południowym Tyrolu. Cenzura policyjna wystaw sklepowych. Sprawa wcześniejszego zamykania sklepów).

(y). Sprawa napadu, urządzonego przez szowinistów włoskich z Trydentu na grono niemieckich turystów, odbywających wycieczkę do niemieckich kolonii w południowym Tyrolu, wciąż jeszcze gorączkuje umysły. W Insbruku omal nie urządzono wczoraj małego pogromu Włochów, gdyż tłum rozpoczął już tłuc szyby w oknach wystawowych włoskich lokali i tylko szybka a energiczna interwencya policyi zapobiegła poważniejszym wybrykom. Dzienniki niemieckie domagają się na gwałt represalii względem Włochów, a przedewszystkiem rozwiązania reprezentacyi gminnych zarówno w Trydencie jak i we wszystkich tych miejscowościach, w których odbyły się wrogie przeciw Niemcom demonstracye. Zauważyć przytem należy, że włościańska ludność włoska południowego Tyrolu nie tylko najmniejszego udziału nie brała w tych demonstracyach, lecz przeciwnie bardzo życzliwie przyjmowała niemieckich turystów. Chłop włoski Trentyna umie bowiem ocenić należycie, jak wielkiem dobrodziejstwem dla niego jest jaknajwiększy ruch turystyczny, dlatego też każdy cudzoziemiec, który zawita do jego gminy, jest dlań pożądanym gościem bez względu na to, do jakiej narodowości należy. Tylko radykalne, socyalistyczne żywioły w Trydencie i innych miastach podniecają szowinizm narodowy i one to urządziły całą tę awanturę, która może wpłynąć na zmniejszenie się ruchu turystycznego w południowym Tyrolu.

W sprawie znanego rozporządzenia dyrekcyi policyi wiedeńskiej, polecającego rozmaitym księgarniom, handlom papieru i przedmiotów artystycznych, usunąć z wystaw sklepowych nagromadzone tam w zanadto wielkiej obfitości reprodukcye nagich ciał kobiecych, cała poważna prasa konserwatywna i chrześcijańsko-socyalna stanęła po stronie policyi i nie tylko pochwala w zupełności jej zarządzenie, lecz ubolewa nad tem, iż ono dawno już nie zostało wydane. Za wielkie bowiem rozmiary przybrał skandal uprawiany z temi wystawami, które prasa liberalna bierze w obronę jako „szkołę piękna i poczucia estetycznego dla tłumów. Ryciny, wystawiane w wielu oknach sklepowych, są po prostu bezwstydne. Niektóre obrazy są częściowo przysłonięte czarnym papierem, aby rozbudzać w przechodniach tem większą ciekawość i chęć ich nabycia. Ostatnimi laty powstało tu całe mnóstwo kramików z „towarami mieszanymi", a w ich liczbie także obrazami. W oknie wystawiono kilkanaście sprośnych rycin, za ladą zaś w sklepie siedzi wystrojona i wymalowana damulka, bardzo podejrzanie wyglądająca, i sprzedaje towary. Że między okazami, które polecono usunąć z okien, znajdują się także fotografie kilku obrazów Tycyana i Rubensa, to nie dowodzi wcale, jakoby zarządzenie policyi było niedorzeczne. Nie przynosi to żadnej ujmy artystycznej wartości tych dzieł, jeżeli da się wyraz przekonaniu, że miejsce dla nich jest w muzeach, ale nie na ulicy. Te dzieci i ci przechodnie uliczni, którzy godzinami gapią się na wystawione w oknach sklepowych miniaturowe reprodukcye tych dzieł, nie potrafią nawet ocenić artystycznych ich zalet, a prawdziwy miłośnik sztuki musi uważać zachwyty tej publiczności ulicznej za profanacyę sztuki. — Że właściciele handlów, dotkniętych zakazem policyjnym, przy urządzaniu swych wystaw sklepowych spekulowali tylko na podniecaniu zmysłowości, okazuje się najlepiej stąd, że z kilkunastu obrazów Rubensa wystawiają tylko pięć lub sześć, które zaliczyć należy do kategoryi tak zwanych „pikantnych". Taksamo z mnóstwa obrazów wystawionych w tegorocznym „Salonie" paryskim, znalazły się w tutejszych oknach sklepowych tylko te, które dla Francuzów są zanadto bezwstydne. — Występując przeciw szerzeniu takiej demoralizacyi, spełnia policya tylko swój obowiązek i dlatego spodziewać się należy, że mimo całej wrzawy, podniesionej w tej sprawie przez prasę liberalną, ministerstwo odrzuci wniesione rekursy i zatwierdzi zarządzenie policyi.

W sprawie wcześniejszego zamykania sklepów odbywa się w Namiestnictwie tutejszem pewien rodzaj ankiety i po kolei przesłuchiwani są przedstawiciele rozmaitych kategoryj handlu, celem wydania opinii. Owóż właściciele handlów środków spożywczych stanowczo sprzeciwiają się zamykaniu sklepów o godzinie siódmej, gdyż to byłoby ich ruiną. Bardzo wiele osób robi bowiem w tych sklepach zakupy dopiero po godzinie 7-mej, zwłaszcza robotnicy i rozmaitego rodzaju funkcyonaryusze, kończący pracę o godzinie 6 lub wpół do 7-ej. Właściciele magazynów konfekcyjnych żądają, by w sezonie zamykano później, w innych zaś miesiącach zdecydowani są zamykać o godz. 7-ej. Właściciele wielkich bazarów na Mariahilferstrasse, jak Gerngross, Lessner i inni w takim tylko razie godzą się na zamykanie sklepów o godz. 7-ej, jeżeli w grudniu personal pracować będzie do godziny 9-ej, a od połowy marca do końca czerwca do godziny 8-ej wieczorem. Przesłuchiwania te potrwają jeszcze kilkanaście dni, na jesień zaś przygotuje rząd zapewne osobne przedłożenie w tej sprawie dla parlamentu.

Patryotyzm kieszeniowy.

Patryotyzm jest w Niemczech doskonałym interesem i nie ulega żadnej wątpliwości, że właśnie te stronnictwa, które najgłośniej krzyczą o potrzebie wielkiej floty, potężnej armii, wspaniałych kolonij, no, i zagłady Polaków, każą sobie sowicie płacić za swój... patryotyzm. Ale nie w formie wyraźnych łapówek. Broń Boże! Pozory muszą być zachowane. Jest jednak rzeczą znaną niemal powszechnie, że właśnie ze wszelkich dostaw dla armii i ze wszelkich projektów kolonizacyjnych korzystają najwięcej „wielcy patryoci" o barwie narodowo-liberalnej.

Posłuchajmy, co o tem pisze *Koelnische Volkszeitung*, organ centrum katolickiego:

„Z wydatków na armię korzysta przedewszystkiem wielki kapitał. W przeważnej części dostaw stan średni i rękodzieła wcale nie biorą udziału. W toku rozpraw parlamentarnych nad dostawą prochu strzelniczego dla armii, stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że pruski trust prochowy robi kolosalne interesy, z których dochód sięga daleko poza granice normalnych zysków kupieckich. Państwo płacić musiało za proch ceny znacznie wyższe od normalnych. Poseł Erzberger, członek centrum, dowiódł w parlamencie cyframi, że zmonopolizowanie dostaw państwowych przez firmę Kruppa kosztowało państwo 42 miliony marek i dopiero kiedy zjawiła się konkurencya, cyfra ta spadła do 24 milionów rocznie. Sam minister wojny zmuszony był przyznać, że od czasu istnienia firmy Ehrhardta, ceny materyału artyleryjskiego, dostarczanego przedtem tylko przez Kruppa, spadły bardzo znacznie. Ogólna zniżka wynosiła 50%, a nawet więcej jeszcze. Uderzającym był fakt, że firmę Kruppa, uprawiającą tak oczywistą lichwę przemysłową, bronić usiłował poseł narodowo-liberalny, dr. Reumer.

Podobne stosunki panują we flocie. Przed kilku laty, dzięki trustowi pruskich baronów węglowych, który zażądał cen bajecznych, zarząd niemieckiej marynarki wojennej był zmuszony zamówić dla siebie węgiel w Anglii. W parlamencie narodowo-liberalni panowie węglowi mieli jeszcze odwagę zarzucać zarządowi marynarki brak patryotyzmu, kiedy zaś parlament oburzył się za to na nich, znowu narodowo-liberalny poseł Hamacher bronił „patryotów" węglowych.

Znane jest również dokonane przez posła Mullera, także członka centrum, odkrycie w sprawie płyt pancernych. Gdy za płyty niemieckie płacono Kruppowi po 2.320 marek za tonnę, za płyty z takiego samego materyału żądały firmy amerykańskie tylko po 1.920 marek. W dodatku musieli jeszcze Amerykanie zapłacić Kruppowi grubą sumę za patent. Szczegóły te wywołały wówczas w parlamencie takie oburzenie, że nawet konserwatyści postawili w Izbie wniosek o założenie państwowej fabryki płyt stalowych, albo o oddanie ich dostawy Ameryce. I znowu tym, który w obronie Kruppa wystąpił, był narodowo-liberalny poseł Reumer.

Co do polityki kolonialnej, przypominamy, że firma Tippelskirch dała w ciągu dwóch lat 135 proc. dywidendy. Uprzywilejowane Towarzystwa w Afryce południowo-zachodniej, które do niedawna ani grosza dywidendy nie dawały, nagle, przy poparciu rządu dały aż 20 proc. Pewne „ultranarodowe" Towarzystwo wyładowywania towarów, za wyładowanie prowiantu i amunicyi dla żołnierzy, walczących w głębi kraju z hererami, otrzymało po 1 marce od tonny, czyli rocznie co najmniej 200.000 marek. Kiedy w parlamencie z tego powodu zrobił się mały huczek, znowu tylko narodowo-liberalni mieli odwagę bronić koncesyi monopolowych.

Czwartym takim odmiennym jednak kwiatkiem jest rządowa polityka przeciwpolska. Zarabiać na niej narodowo-liberalni już nie mogą, starają się więc, aby jak najmniej stracić. Pięćset milionów dał już rząd na tę walkę, nie licząc tak zw. „dodatków kresowych" dla urzędników. I cóż przez to uzyskał? Oto, że ceny ziemi poszły ogromnie w górę i zadłużeni Niemcy mogli sprzedać ją drogo. Teraz komisya kolonizacyjna nie ma już co kupować i ma być uchwalona brutalna ustawa wywłaszczająca. Narodowo-liberalni i izba panów, która przeciwpolską politykę rządową dotychczas popierała, staje okoniem. Dlaczego? Czyżby się obudziło w nich uczucie sprawiedliwości? Ej, nie! — panowie ci obawiają się tylko, że ceny ziemi na Wschodzie znacznieby wówczas spadły. A więc i w tym razie troskliwość o własną kieszeń spycha interes „narodowy" na plan dalszy.

Tak wygląda patryotyzm stronnictwa narodowo-liberalnego w Prusach, które najgłośniej wrzeszczy: „Ratujmy ojczyznę! Budujmy flotę! Zgładźmy Polaków!"

List do Redakcyi.

(Jeszcze o uniwersytecie ruskim w Galicyi.)

Szanowna Redakcya pozwoli, że odnośnie do artykułu, traktującego o uniwersytecie ruskim w Galicyi, w numerach 164 i 165 *Przeglądu*, także i ja jeszcze kilka uwag uczynię, a mianowicie:

Rusini w Galicyi wschodniej rozdarci są obecnie na dwa stronnictwa: jedno tak zwane moskalofilskie, którego ideą narodową jest narodowa i kulturalna jedność całej Rosyi, t. j. Wielkiej Rosyi, Małej Rusi i Białej Rusi, a drugie nazywające się ukraińskim, którego ideą narodową jest odrębność narodowa i kulturalna Małej Rusi od reszty świata ruskiego.

Pierwsi chcieliby zatrzymać małoruski ludowy język w literaturze tylko w celu niesienia oświaty ciemnemu ludowi, a jako język nauki przyjąć wyrobiony światowy język literacki rosyjski, drudzy zaś chcieliby z małoruskiego ludowego języka wytworzyć koniecznie nowy naukowy język.

Usiłowania jednak tych ostatnich, datujące się od niespełna pół wieku, były niezdarnie prowadzone i wydały ujemny wynik.

W swej fanatycznej, partyjnej zaciekłości zeszli oni bowiem na bezdroża, a mianowicie: bądź to powyrzucali z ludowego moloruskiego języka wyrazy, tak przez małorusinów, jak i przez wielkorusinów używane i zastąpili je polskimi wyrazami, które w ten sposób zruszczyli, że pododawali do nich ruskie końcówki, bądź to poskrócali i poprzekręcali je, a to wszystko w tym celu, aby przez usunięcie z małoruskiego języka wyrazów, przez małorusinów i przez wielkorusinów używanych, ten przez nich tworzony język naukowy oddalić jak można najdalej od literackiego języka wielkoruskiego i aby tym sposobem zadokumentować odrębność językową małej Rusi od reszty świata ruskiego.

Nadto sfabrykowali oni wiele nowych wyrazów, ale tak nieumiejętnie, że są między nimi takie wyrazy, których znaczenia żaden filolog etymologicznie dociec nie zdoła.

Tym sposobem stworzyli oni jakiś żargon mało podobny do wielkoruskiego literackiego

---

53)

Girolamo Rovetta.

Mater Dolorosa

Powieść

przełożyła z włoskiego ***Karolina Dzieduszycka.***

(Ciąg dalszy).

W izbie służbowej raz spotkała się z Frascolinim ojcem, który właśnie był przyszedł do pałacu, aby wypełnić swój obowiązek. Biedny człowiek postarzał się o dziesięć lat: pochylony, wyczerpany, kaszlał w niepokojący sposób. Szaleństwa syna były tego przyczyną, ale on uparty, nie chciał tego powiedzieć, a tłumiąc to w sobie, cierpiał jeszcze więcej i żadnej ulgi nie znajdował. To spotkanie nie zrobiło na Lalli żadnego wrażenia: tylko przypomniała sobie Sandra i uczuła gwałtowne oburzenie. Jednak zawsze panując nad sobą, zapytała go o zdrowie, o zbiór winogron, o administracyę gminną, a także o ten „niepoczciwy powód" jego rozpaczy... a to bez żadnego drżenia w głosie, zawsze spokojna i pewna siebie.

Za to Nenie, która była przy tem, serce biło gwałtownie, tak gwałtownie, iż zdawało się chcieć z gorsetu wyskoczyć.

— Nie, o tym... panu... nie mam żadnych wieści, ani się o nie troszczę — szepnął stary; ale wybuch gniewu skończył się dwoma łzami, które mu po policzkach spłynęły.

Lalla ani pomyślała o tem, a stary ani nawet przypuszczał, że właściwą przyczyną tego nieszczęścia, tego upadku jego syna, mogła być ona.

— No, no — rzekła mu — miejmy nadzieję, że się wszystko dobrze ułoży i że znowu wszyscy szczęśliwi będziecie. Pan Bóg was chciał doświadczyć, ale pocieszy was wkrótce. Miejcie nadzieję w dobroci Jego!

I pozwoliła, aby biedny stary, wzruszony taką łaskawością, łkając, całował jej ręce.

Kiedy księżniczka wróciła do salonu, Prosper Anatol i della Valle wydawali rozporządzenia na dzień jutrzejszy. Jerzy miał wyjechać sam na kolej na spotkanie świadków, było ich czterech, dwóch z Izby wyższej, a dwóch z niższej, i właśnie telegrafowali, iż pierwszym pociągiem przyjadą.

Pożegnanie tego wieczora było bardziej niż zwykle wymowne i serdeczne. Smętność, która do tej chwili opanowała wszystkich, rozwiała się i posypały się obietnice, zapewnienia, uściski rąk i pocałunki najserdeczniejsze. Jerzy, zanim odszedł do siebie, podał ramię Maryi, usilnie nalegając, by ją mógł aż do drzwi jej pokoju odprowadzić; odmówić nie było żadnej przyczyny. Marya więc przyjęła podane jej ramię, i oboje szli ku schodom.

Kiedy znaleźli się w saloniku, będącym obok sypialnego pokoju, Jerzy się zatrzymał, nie dozwalając jej zaraz z Luigią odejść, ale przytrzymał ją za rękę.

— Zanim cię dziś wieczór pożegnam, pozwól mi słówko jeszcze powiedziec; pozwól, niech jeszcze raz cię przeproszę, jeżeli dawniej, w latach ubiegłych, sprawiłem ci jaką przykrość. Bądź dobrą, Maryo, i daj mi pewność, że żalu do mnie nie chowasz i że przyjmując mnie za syna, nie ulegasz woli kogo innego, ale czynisz to dobrowolnie, z całkowitem przyzwoleniem własnego serca.

— Tak, tak... całem sercem — Marya zdobyła się jeszcze na siłę zapanowania nad sobą. — Całem sercem! Co do moich uczuć nie miej żadnych wątpliwości. Starzejąc się... zmieniłam się trochę i..... zmieniłam na gorsze. Stałam się także trochę mniej wylaną; ale całą duszą wdzięczną ci będę, jeżeli, jak temu wierzę, potrafisz córkę moją uszczęśliwić...

— Twoja wdzięczność? A gdyby sama wdzięczność... mi nie wystarczała?

— Nie? — Marya spoważniała, aby zapanować nad sobą, przezwyciężyć drżenie, które ją całą ogarnęło.

— Nie, Maryo, nie. „Wdzięczność" nie wystarcza mi; pragnę, chcę trochę przywiązania. Błagam cię... zaklinam... gdybyś wiedziała, jak ja tego potrzebuję!... Zdaje mi się, że twoje przywiązanie powinno zachować mi miłość mojej Lalli i stać na straży mojego szczęścia!... A więc?... Kochaj mię trochę, jeżeli już nie dlaczego innego, to dla twojej córki, którą tak kocham, ubóstwiam, Boże mój, jak ty nawet, „mamo", wyobrazić sobie tego nie możesz!

Marya stała oparta o przymknięte drzwi, i dlatego Jerzy nie zauważył, jak na te słowa zadrżała.

— A więc?... — mówił dalej Jerzy, ciągle ją po rękach całując, które pierwej w swoich trzymał. — A więc, będziesz mię trochę kochała „mamo"?

— Tak, daj szczęście córce mojej; do widzenia! do jutra! — i znikła.

Jerzy i tym razem nie miał powodu zachwycać się uprzejmością ani też serdecznością swojej przyszłej świekry... przeciwnie, nic mniej jak to! I ostatecznie doszedł do tego przekonania, że Marya miała pewne dziwactwa i że musiała być jakaś przyczyna jej zachowania pełnego wyniosłej dumy i oziębłości; ale teraz był nadto szczęśliwym, aby chcieć to szczęście czemkolwiek mącić; wzruszył więc tylko ramionami i wkrótce o matce zapomniał, myśląc jedynie o córce.

Kiedy Marya weszła do swego pokoju, ze wzruszenia niemal jej tchu brakło. Rzuciła się na łóżko, skurczona, trzęsąca się febrą, a pierś jej rozrywał suchy i głęboki kaszel. I z zaparciem się nadludzkiem, wzniosłem, podziękowała Bogu, iż jej dał siły przetrwania tego życia i błagała Go, aby ją podtrzymał łaską swoją w tej chwili ostatniej, która się zbliżała. Wtedy uspokojona tą samą modlitwą, uczuła wyrzut sumienia z powodu oziębłości, którą Jerzemu okazywała; pomyślała, że swojem zachowaniem się mogła zamącić szczęśliwość jego i córki swojej i postanowiła być dla Jerzego i dla wszystkich więcej uprzejmą i serdeczną. A obiecując w modlitwie Bogu i samej sobie, że się dalej dobrowolnie i w ukryciu swej duszy poświęcać będzie, łzy obfite i gorące płynęły jej z oczu, tak, jak żywa krew z otwartej rany.

Nazajutrz Marya wstała bardzo wcześnie; przez noc całą oka nie zmrużyła. Była obolała, miała gorączkę, kaszlała, kaszlała... Boże, Boże, jakże się czuła chorą!

Najprzód miał się odbyć ślub kościelny, a potem cywilny. Pierwszy o dziesiątej z rana, a drugi o trzeciej, aby panna młoda miała czas przebrać się. Potem o piątej miał być obiad, na który byli zaproszeni don Gregorio, don Vincenzo i syndyk... a na koniec państwo młodzi mieli wyjechać w podróż poślubną.

Lalla była smętna i poważna, przygotowywała się do uroczystości z całym spokojem i bez najmniejszego pomięszania. Ale za to hrabia Della Valle zapominał o wszystkiem i o rozporządzeniach, które miał wydawać...

Marya była zupełnie wyczerpana... Już jej i łez brakło, ale za to Prosper Anatol płakał i za nią, maczając chleb grubo smarowany masłem w filiżance kawy ze śmietanką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

języka, który nie jest ani polskim, ani ruskim językiem, tylko jakimś filologicznym dziwolągiem. Dziwoląg ten jest tem bardziej dziwaczny, a nawet i komiczny, że ten żargon, wskutek niepotrzebnego, bo przez naród nieużywanego miękczenia wyrazów nabrał takiego brzmienia, jak mowa dwuletniego dziecka, które dopiero uczy się mówić, a nie mogąc jeszcze języka swego nałamać, szepleni.

W swem dziwactwie doszli oni do tego, że nawet polskie nazwiska, jak naprzykład: Janicki, Głowacki, Wasilewski, Gąsiorowski i t. d. miękczą, pisząc je tak: Janićkyj, Głowaćkyj, Wasilewśkyj, Gąsiorowśkyj.

Tym żargonem nie mówi lud ruski w Galicyi, tym żargonem nie mówią także rosyjscy małorusini. Tym żargonem posługje się tylko kilka tysięcy galicyjskich inteligentów ruskich nowszych czasów, którzy stoją na gruncie odrębności małoruskiego narodu, zaś małorusini rosyjscy książek i gazet tym żargonem pisanych, nawet czytać nie chcą, bo tylko ich inteligencya te wytwory i to tylko z trudem zrozumieć zdoła. Nawet ich największy prorok, profesor Hruszewśkyj, który teraz w celu wyrównania tych różnic językowych między rosyjskimi a galicyjskimi Rusinami swą główną kwaterę do Kijowa przeniósł, wypowiedział zdanie, że gdyby małoruski (czyli wedle niego ukraiński) język w Galicyi jeszcze przez przeciąg jakich dwudziestu lat w dotychczasowym kierunku dalej się rozwijał, to wytworzyłby się w Galicyi język zupełnie odrębny od małoruskiego (czyli według niego od ukraińskiego) języka w Rosyi. Gdyby do tego przyszło, to w swym czasie możnaby nawet postawić tezę, że są dwa narody małoruskie, jeden w Galicyi, a drugi w Rosyi.

Pytam się więc, czyli wobec tego, że w Galicyi są dwa stronnictwa ruskie, z których każde osobny język i osobną ortografię uprawia i z których każde swój język w szkołach zaprowadzony mieć chce i wobec tego, że żargon fałszywych Ukraińców w Galicyi jest jeszcze ciągle w stadyum tworzenia się, a nakoniec w obec tego, że ten żargon uważać należy za język przyszłości, bo tym żargonem oprócz części inteligencyi ruskiej nowszych czasów w Galicyi, nikt zresztą na świecie nie mówi i języka tego nie rozumie, jakże więc wobec tego wszystkiego można myśleć o założeniu uniwersytetu ruskiego w Galicyi, na którymby w tym żargonie wykładano?

Myślę, że nie. Myślę, że założenie uniwersytetu ruskiego z tym żargonem, jako językiem wykładowym, byłoby absurdem, którego rząd austryacki nie popełni, choćby ruscy posłowie ze stronnictwa separatystycznego, którzy każą się przezywać Ukraińcami, śpiewali w Wiedniu, w parlamencie, aż do zachrypnięcia.

Poszedłbym jeszcze dalej; pokasowałbym pozakładane już dotąd gimnazya ruskie i zastąpił je, jeżeli nie polskiemi, to niemieckiemi, aby położyć kres bałamuceniu młodzieży jakimś ukraińskim narodem i jakąś ukraińską mową, których na świecie nie było, nie ma i nie będzie. I pozamykałbym te gimnazya na tak długo, póki sprawa ruskiego języka naukowego i pisowni nie stanie na jakiemś pewnem stanowisku, a na każdy sposób zrewidowałbym krytycznie istniejące ruskie książki do nauki pod względem ich treści, a kto wie, czy nie wyjaśniłaby się przy tej sposobności przyczyna hajdamactwa ruskiego w Galicyi w nowszych czasach.

E. W. (Rusin)

Co i o czem piszą.

Wiedeński korespondent *Dziennika Polskiego*, człowiek bardzo spokojny i zrównoważony, raczej łagodny w ocenianiu ludzi, niż surowy, nie mógł przecież nie zirytować się przechwałkami jednych, a lekkomyślnością innych ujemnych posłów. Pisze tedy w ostatnim numerze co następuje:

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że pewnego pokroju posłowie nie mają granic w marnochlubstwie i *ex post* przyczepiają się do każdego wniosku, który miał powodzenie. Pan Stapiński jednak przeszedł już wszelką miarę. Czesi upomnieli się w Izbie o prawa językowe, Czesi zagrozili obstrukcyą na wypadek odmowy, Czesi i tylko Czesi wywalczyli spisywanie mów innojęzycznych. Kiedy to się już stało i kiedy prezydent gabinetu oświadczył — co się zresztą samo przez się rozumiało — że koncesya uczyniona Czechom automatycznie rozszerza się na wszystkie inne grupy narodowe, p. Stapiński udał się do barona Becka i zapowiedział, że w ten, a ten dzień przemawiać będzie po polsku. Naturalnie, że na ten dzień powołano do Izby polskiego urzędnika, tak samo. jak dla języków: włoskiego, chorwackiego itd., również z góry tłómaczy wyznaczono. Panu Stapińskiemu wystarcza to jednak do przechwalania się w *Przyjacielu Ludu*, że ludowcy poparci przez Czechów, prawo językowe w parlamencie wywalczyli. Ba, p. Stapiński daje nawet do poznania, jakoby wszystko to stało się wbrew woli Koła polskiego. Zaiste pozazdrościć posłowi ludowemu śmiałości. Powtarzam dla wiecznej rzeczy pamięci, że ludowcy w tej sprawie ani palcem nie ruszyli, a zgłosili się tylko do gotowej zupełnie rzeczy.

P. Stapiński czuje słabość swojej pozycyi i ot tak na wszelki wypadek, odwołuje się na swoich poprzedników, mianowicie na jakiś ongi wniosek śp. Winkowskiego. Chce więc i zasługi dziedziczyć. Przy tem naturalnie przedstawia wielkość zdobyczy w zupełnie niewłaściwem świetle, twierdząc, jakoby teraz dopiero otworzyło się (dzięki jego własnej i odziedziczonej zasłudze) dla ludowców pole do pracy. W rzeczywistości tak, jak dziś, tak i przedtem wolno było po polsku przemawiać, a z prawa tego już dawniej korzystali posłowie ludowcy: Olszewski, Kubik i inni. Cała różnica w tem, że obecnie wyciąg mowy w języku niemieckim dostaje się dla użytku gazet do *Reichsrathscorrespondenz* (a nie do stenograficznego protokołu), ale właśnie niemieckie dzienniki na podstawie umowy tych wyciągów nie drukują. Pan Stapiński przesadza więc znaczenie zdobyczy, a zupełnie zmyśla swój w niej udział. Wszystko to czyni oczywiście dlatego tylko, ażeby powstrzymać posłów włościańskich od wstąpienia do Koła polskiego. Bo i po co im Koła, kiedy p. Stapiński sam na własną rękę takie czyni zdobycze? Ambicya jednostki i tylko jednostki staje w ten sposób w poprzek najżywotniejszemu interesowi narodowemu, nie dopuszczając do solidarności posłów polskich.

Z wywczasu letniego dla samochwalstwa korzysta nie jeden tylko p. Stapiński. Jeśli p. Stapiński rości sobie prawo do dziedziczenia zasług po swoich poprzednikach, to prof. Głąbiński przeciwnie, przekreśla dotychczasową historyę parlamentarną i wszystko zaczyna od siebie. Inaczej trudno wytłómaczyć sobie jego twierdzenia (w *Słowie Polskiem)* jakoby on pierwszy, wszedłszy w skład Koła polskiego, poruszył myśl organizacyi posłów demokratycznych. A gdzież śp. Szczepanowski i gdzie żyjący świadkowie, dr. Rutowski, dr. Lewicki i tylu innych. Czyż koniecznie p. Głąbiński ma być wszelakiej rzeczy początkiem?

Przypomniał się światu w czasie feryalnym także poseł Łuszczkiewicz. Pan ten kandydował, jeśli się nie mylę, pod znakiem centrum. Po wyborze zgłosił się w ciągu kilku dni do centrum, do demokracyi i do ludowców, tak, że każda z tych grup liczyła go za swego. Stąd poszło, że grupy razem zliczone wykazywały o dwóch posłów więcej, jak ogółem jest. Obecnie za pośrednictwem organu ludowego dowiadujemy się, że p. Łuszczkiewicz zdecydował się zostać w ludowcach. Ten przynajmniej pochwalić się może, że palnął głupstwo — ale po gruntownym namyśle.

Obok niego wymieniają jeszcze jednego członka Koła, który waha się pomiędzy trzema aż grupami — może zgłosi akces do czwartej.

Spolszczenie „bambrów“ pod Poznaniem.

Po za obrębem zaboru pruskiego, mało wiadomo o spolszczeniu się pierwszej kolonii niemieckiej po rozbiorze Polski w okolicach miasta Poznania, tak zwanych „bambrów“, która to nazwa w Poznaniu samym stała się identyczną z nazwą wieśniaka lub chłopa.

Pierwszych tych kolonistów niemieckich sprowadził rząd pruski w celach germanizacyjnych na początku wieku XIX z okolic Bamberga w Bawaryi (stąd nazwa „bambrów“) do okolicznych wsi miasta Poznania, Łubania, Dębca, Góreczyna, Winiar, Wildy, Jerzyc i Główny. Niektóre z tych miejscowości, jak Wilda i Jerzyce, tworzą teraz kwitnące przedmieścia, włączone do gminy poznańskiej.

Rodziny te bamberskie Muthów, Leitgebrów, Genslerów, Kaiserów, Jeskich, Sellów, Magrów i t. d., do ostatnich niemal czasów zachowywały swą mowę niemiecką i odrębne zwyczaje. Wesela trwają u nich tydzień i dłużej, a młodzież bamberska zwykle sobie bamberki wybierała za żony. Pracą i zapobiegliwością doszli do fortun pokaźnych, a stali się Polakami dopiero w najgorszych czasach naszej politycznej niewoli, podczas ery bismarkowskiej. Nikt ich gwałtownie nie polszczył, mieli swobodę i wolność i z czasem polskością przejęli się dobrowolnie.

Przybyli w ilości kilkuset rodzin Bambrzy, pochodzą podobno ze szczepu słowiańskiego Babiaków, zgermanizowanych już doszczętnie w wiekach średnich. Mają okazałą postawę i cokolwiek specyalnej chłopskiej gburowatości niemieckiej, twarze niezbyt regularne. Mężczyźni noszą kapoty długie, granatowe, gładkie, palone buty i małe, okrągłe kapelusze, które od pewnego czasu zastąpiła chętnie „maciejówka“. Kobiety noszą szerokie, wykrochmalone nakształt krynoliny spódnice, bogato wystrojone wstążkami z naszywkami złotemi, czarne lub kolorowe gorsety, spinane przy koszulce białej, białe pończochy i krótkie, sznurowane buciki atłasowe czarne; dalej ładnie związane czepki białe, a podczas uroczystych świąt i procesyi wysokie czepce podłużne, z wstążek różnobarwnych i kwiatów sztucznych, przetykanych złotem. Wartość jednego takiego czepca wynosi 500 i więcej marek.

Dziś liczy Poznań wielu obywateli polskich, zamożnych, rzutkich i czynnych w służbie publicznej, szczycących się swem pochodzeniem bamberskiem, a dla przykładu zaznaczamy fakt, że bamberska rodzina Jeskich, składająca się z kilkunastu osób, przybyła przed trzema laty gremialnie do redakcyi pisma ludowego *Wielkopolanin*, aby publicznie sporządzić akt wyparcia się bogatego krewnego, xiędza Jeskego, który dla stosunków towarzyskich z Niemcami — mimo, że się czuje Polakiem — w dniu imienin cesarskich wywiesił chorągiew pruską i obraził strofujące go za to pisma narodowe.

Nie podoba to się naturalnie hakatystom i przy każdej sposobności wytykają bambrów Polakom, używając faktu ich spolszczenia, jako atutu w umotywowaniu nowych środków prześladowczych przeciwko Polakom, a operuje tym faktem szczególnie Związek ewangelicki, agitujący przeciwko osiedlaniu Niemców-katolików w dzielnicach polskich, gdyż rzekomo jedynie wyznanie ewangelickie może skutecznie chronić Niemców-kolonistów przed zachłannością polityczną polsko-katolicką.

Świeżo znowu na zjeździe Związku ewangelickiego w Poznaniu, agitator profesor Burchard, w odczycie o bambrach obwinił agitacyę wielkopolską i xięży polskich jako sprawców ich spolszczenia i rozsadników świadomej wrogiej dla państwa niemieckiego agitacyi polskiej.

Za te twierdzenia i wnioski otrzymał Burchard odpowiedź ze strony, od której się tego najmniej mógł spodziewać, od Polaka, którego ojciec był Niemcem-katolikiem, a który wzrósł i wychował się w okolicy przez bambrów zamieszkałej. Jest nim dzierżawca dóbr Józef Thomas, który mimo swego niemieckiego pochodzenia, gorąco ukochał sprawę polską i w pracach obywatelskich żywy bierze udział.

Ogłosił on w pismach poznańskich obszerny list otwarty do profesora Burcharda, w którym ostro i dobitnie protestuje przeciwko insynuacyi jakiejś agitacyi ze strony xięży katolickich i redaktorów polskich przy spolszczeniu bambrów i wykazuje faktami, że bambrzy i inni Niemcy, tak katolicy, jak i ewangelicy, ukochali ziemię polską i polskie zwyczaje i obcując z Polakami, dobrowolnie się spolszczyli.

Mały feljeton.

Listy pożegnalne.

Władysław siedział przy biurku, — obok niego leżał rewolwer. Gorączkowo chwycił pióro do ręki i zaczął pisać:

Kochany Stryju!

Za godzinę postanowiłem położyć kres memu życiu.

Zanim jednak rozstanę się z tym światem, nie mogę pozbawić się tej tak długo oczekiwanej przyjemności, aby Ci nie powiedzieć, że jesteś wstrętnym sknerą, skoro synowi jedynego twego brata odmawiasz pomocy i zmuszasz go tem do samobójstwa. Jest to zbrodnia, za którą pokutować będziesz do ostatniej chwili Twego marnego żywota i po śmierci.

Twój nienawidzący Cię
Władysław.

Z prawdziwą satysfakcyą położył podpis pod tym listem.

Wziął drugi arkusik papieru, zanucił wesołą aryę z najnowszej operetki i po krótkim namyśle począł znowu pisać:

Kochana Maniu!

Narzeczony twój żegna Cię temi słowy, żegna na zawsze. Pożegnanie to może nie brzmi zbyt serdecznie, ale wobec zbliżającej się śmierci — ustaje wszelka obłuda. Połączenie nasze, przyznać się muszę, byłoby jedynie tzw. „małżeństwem rozsądku“.

Gdym znalazł się w obliczu nędzy, — nikt nie sięgnął do kieszeni! Wyszukano mi bogatą narzeczoną — Ciebie! Nie należę jednak do tych, którzy szukają wyjścia z ciężkiego położenia przez bogaty ożenek. Mówiąc otwarcie, wyznaję szczerze, że nie czułem do Ciebie nietylko najmniejszej iskierki miłości, ale nawet sympatyi. Nie gniewaj się na mnie za te słowa, przysięgam Ci, że to odemnie nie zależało.

Małżeństwo wyobrażam sobie zupełnie inaczej, niż moi kochani krewni, którzy chcieli skuć dwa obce sobie serca dla miłego dla nich spokoju... Nie uda im się to. Znalazłem przyjaciela, który mi odda prawdziwą przysługę. Jest nim mój kochany rewolwer...

Proszę Cię, pozdrów odemnie Szanownych Twoich Rodziców i zapomnij jak najprędzej o twym byłym narzeczonym

Władysławie.

Władysław wziął do ręki swego przyjaciela i przyglądał mu się z rozkoszą. Następnie nabił rewolwer. Nagle broń odłożył, chwycił pióro i zaczął szybko pisać:

Kochany Stasiu!

O mały włos, byłbym zupełnie o Tobie zapomniał — byłoby to nie do przebaczenia! Nie uwierzysz, jak pragnąłbym widzieć Cię w tej chwili, gdy odczytywać będziesz te słowa.

Rozumiesz? Nie? To do Ciebie zupełnie podobne!.... Tak, Stasiu, gasimy płomień życia! Tak, tak, gasimy! Co też w naszym klubie o tem powiedzą? Słyszę, jak Wicek mówi:

— Szkoda go, zabawnie opowiadał facecye. — A Fredzio zacedzi:

— Nie rozumiem tego człowieka; jeżeli się jest w takiem położeniu, to przecież z dwojga złego już lepiej było ożenić się bogato!...

Wszyscy się będą śmieli z tego dowcipu Fredzia. Tak, tak, wszyscy będą się śmieli!... Tylko Stefek zrobi minę poważną i powie:

— Spodziewałem się tego już dawno po nim....

Możesz go, Stasiu, upewnić, że zamiar powziąłem dopiero onegdaj. Bądź zdrów, pokłoń się całemu klubowi. Prawdziwie żałować będzie mnie jedynie Franciszek, z powodu sutych napiwków. Żal mi go też najwięcej, gdyż on jeden był najszczerszym w swym egoizmie. A wy wszyscy?... No, chwała Bogu, pozbywam się was na zawsze — a to rzecz najważniejsza... Twój

Władysław.

Włożył list do koperty i zaadresował. Po chwili zadzwonił.

Lokaj wszedł do pokoju.

— Wyślij te listy bezzwłocznie!

— Słucham jaśnie pana!

Po wyjściu lokaja, Władysław wziął znowu do ręki rewolwer. Ręka na chwilę zadrżała.

— Musi się stać — rzekł do siebie — mosty za mną spalone. Niema innego wyjścia!...

Skierował lufę do skroni...

Rozległ się dzwonek... We drzwiach stanął lokaj i zawiadomił, że przyszedł pieniężny listonosz.

Na twarzy Władysława zaigrał ironiczny uśmiech. Gniewnie odłożył broń na stronę.

— Wciąż człowiekowi przeszkadzają...

Niebawem lice jego rozjaśniło się.

Ciotka Eugenia, do której przed paroma tygodniami wysłał list z opisem swego krytycznego położenia, przysyła mu przekaz na 5000 guldenów.

— Kochani krewni! Groźba samobójstwa jeszcze budzi uczucia rodzinne!...

Władysław począł śmiać się radośnie. Jakże pięknem wydało mu się znów życie!...

Nagle przyszła mu jakaś przykra myśl do głowy — uderzył się w czoło.

— Boże! A listy pożegnalne?...

Gwałtownie zadzwonił.

Wszedł lokaj.

— Czy listy już wysłane?

— Już proszę jaśnie pana!

— To dobrze, możesz wyjść! — rzekł gniewnie.

— A więc! Co dalej?... Piękna sytuacya!...— zawołał, szybko przebiegając pokój tam i z powrotem. W tej chwili pewnie odczytują moje listy! Wszyscy są przekonani, że jestem już na tamtym świecie. Co ja zrobię, gdy spotkam narzeczoną, stryja, towarzyszów klubowych?... Co robić? co robić? Boże, poco ja im wszystko to napisałem! I teraz żyję! Fatalność! fatalność!.

Pogrążył się w myślach. Przecież te 5000 guldenów na wieki nie wystarczą. Nadejdzie chwila, gdy znowu będzie trzeba zwrócić się do stryja, gdy znowuż drogą wyjścia będzie małżeństwo dla pieniędzy, gdy gra w klubie znowu mnie pociągnie...

— Nie! nie! Chwila ta nie powinna nadejść nigdy! — zawołał stanowczo. — Nowe życie rozpocznę, trzeba przeszłość pogrzebać w zapomnieniu.

I widział już przed sobą to życie uczciwe, życie pracy, niezależne od stryjów, ciotek i ich kieszeni! Jakże to będzie pięknie! Tak, o własnej sile!... Teraz cieszył się, że wysłał wszystkim listy pożegnalne, zamykające mu drogę powrotu do dawnego, bezmyślnego, bezcelowego życia.

Wszyscy byli dlań umarli, wszyscy, wszyscy!...

Witał ze łzami radości zwiastunów nowego życia, które zamierzał sobie stworzyć...

Swego „ukochanego przyjaciela“ ukrył w najniższej szufladzie biurka... i począł się pakować do bezzwłocznego wyjazdu do Ameryki.

Wypadki w Rosyi.

Warszawa. Do właściciela majątku Łęgonice, w pow. opoczyńskim, Moszka Absatza, wtargnęło o godz. 1-ej w nocy 4 drabów, którzy, strzeliwszy dwukrotnie i rozbudziwszy całą rodzinę, zażądali 500 rubli, oświadczając, że należą do partyi, i że w razie odmowy zabiją wszystkich. Absatz dał im 25 rubli i wespół z żoną zaczął ich błagać, aby pozwolili mu resztę pieniędzy oddać za dwa tygodnie, ponieważ teraz nie ma więcej gotówki. Bandyci zgodzili się na to i zaczęli przetrząsać mieszkanie. Wziąwszy rewolwer, zegarek i burkę, udali się do stajni, zabrali trzy konie wartości 250 rubli, zaprzęgli je do bryczki i odjechali w stronę Nowego Miasta.

Wilno. W poniedziałek o godz. 11 wieczorem, w domu Globusa, na rogu ul. Rudnickiej i zaułku Dzisieńskiego wybuchła bomba. Położono ją na piętrze pod drzwiami mieszkania i składu obuwia kupca Bermana. Wybuch był bardzo silny i spowodował poważne szkody. Drzwi, wiodące do mieszkania Bermana, zostały zgruchotane. W bliższych pokojach zniszczone są zupełnie ściany i sufity. W całym prawie domu powypadały szyby. Schody, zawalone kawałkami drzewa i wapna i t. d., przedstawiały okropny widok. Ofiar z ludzi na szczęście nie było, ponieważ p. Berman z rodziną wyjechał właśnie na letnie mieszkanie. Przyczyną wybuchu była szeroko obecnie praktykowana groźba, czy zemsta t. zw. anarchistów-komunistów, Berman bowiem w przeddzień wypadku otrzymał list z żądaniem pieniędzy.

Niżny Nowogród. We wsi Jelnia, w pow. niżno-nowogrodzkim, nauczyciel szkoły rolniczej wraz z dwoma uczniami dokonał zbrojnego napadu na rządowy sklep monopolowy. Na krzyk sklepowej nadbiegli włościanie i urządzili obławę. Napastnicy, widząc, że mają odwrót odcięty, odebrali sobie życie wystrzałami z rewolweru.

Kijów. Jako podejrzanego o udział w napadzie bandytów na Korolewa w wagonie, aresztowano pewnego młodego człowieka, mającego paszport na imię Leona Kucharskiego. Zdaje się jednak, że jestto paszport fałszywy.

Dorpat. W południe, kiedy ulice Dorpatu zapełnione były publicznością, kasyer miejskiego banku, Ernitz — śpieszył na pocztę. W kieszeni miał dużą sumę pieniędzy. W bliskości kasyera, nie przestając śledzić go ani przez chwilę, podążała niewielka grupa młodych ludzi. Było ich 5-ciu. Twarze mieli niespokojne, podniecone; ręce wsunięte w kieszenie. Kasyer i towarzyszący mu strażnik, doszli do ul. Rycerskiej, gdzie było pełno osób spacerujących. W owej chwili jeden z nieznajomych odłączył się od swych towarzyszy i nie wzbudzając podejrzenia, skierował swe kroki w stronę kasyera. Koło redakcyi fińskiej gazety *Postimies* nastąpiło spotkanie. Młodzieniec, podszedł do kasyera, cicho powiedział: „Stój, ani kroku dalej, jeśli ci życie miłe! Za mną idzie wielu towarzyszy.“ Kasyer, nie tracąc przytomności umysłu, począł uciekać. „Strzelać będę!“ krzyknął bandyta. Publiczność zaczęła zwracać uwagę na dwóch biegnących ludzi. Powstało zamieszanie. Kasyer, dobiegłszy do sklepu tytoniu „Laferma“, wpadł do niego.

Bandyta wdarł się za nim i kilkakrotnie strzelił do niego. Jedna z kul trafiła go w nogę. Kasyer upadł, brocząc krwią. Wtedy bandyta rzucił się na niego w celu grabieży. Przez ten czas na ulicy zebrał się tłum ludu.

Widząc niebezpieczeństwo, morderca szybko wybiegł ze sklepu na ulicę, gdzie, połączywszy się ze swymi towarzyszami, znikł w tłumie. Nikt ich nie zatrzymywał. Policya prowadzi energiczne śledztwo i aresztowała już kilka podejrzanych osób.

KRONIKA

Lwów 3 sierpnia.

Wybory uzupełniające do komisyi szacunkowych dla podatku zarobkowego I i II klasy w okręgu Izb handlowych lwowskiej i brodzkiej odbędą się 17. września w lokalu lwowskiej Izby handlowej.

Losowanie premii z fundacyi ś. p. Wincentego Łodzia Ponińskiego. W tegorocznem losowaniu premij z fundacyi ś. p. Wincentego Łodzia Ponińskiego, dla czeladników rzemieślniczych, którzy z powodu ubóstwa nie mogą zostać majstrami i założyć samoistnego warsztatu, wzięło udział 351 czeladników. Premie wylosowali następujący czeladnicy: Pierwszą premię w kwocie 1.530 kor. 48-letni Franciszek Zieliński, czeladnik krawiecki; drugą premię w kwocie 1.275 koron 47-letni Władysław Cieliński, czeladnik litograficzny; trzecią premię w kwocie 1.020 koron 39-letni Karol Maerz, czeladnik introligatorski, a czwartą premię w kwocie 765 koron 27-letni Stanisław Greń, czeladnik koszykarski.

Warto byłoby, żeby Wydział krajowy, który zajmuje się rozlosowywaniem tych premii, zdał kiedy ogółowi sprawę z tego, jaki jest pożytek z owych premii, ilu mianowicie czeladników zakłada warsztaty, a ile premij idzie na marne.

Oddzielenie się starorusinów od ukraińców. Poseł Korol, od którego — jak to donieśliśmy wczoraj — zażądało zgromadzenie wyborców ruskich w Żółkwi, ażeby natychmiast wystąpił z klubu ruskiego, zaniechał pierwotnego zamiaru swojego wysłuchania jeszcze woli wyborców z innych miejscowości swego okręgu wyborczego i ogłosił we wczorajszym *Hałyczaninie*, iż występuje

---

3)

Feljeton literacki.

Antoni Sygietyński. „*Drobiazgi*“. Lwów. Nakład Towarzystwa wydawniczego. 1907. Stronic 218.

(Ciąg dalszy).

Doktor usiadłszy, rozejrzał się po chacie i zobaczył, że na środku izby stoi warsztat tkacki, czyściutki, nowiutki, jakby co dopiero wyszedł z fabryki. Warsztat ten zajmował cały środek izby, zostawiając po bokach tyle tylko miejsca, ile go wystarczało na ustawienie tapczanów i łóżek, na których spało kilkanaście osób: trzy pokolenia rodziny.

— To wasz mąż pewnie zajmuje się tkactwem — zapytał doktor po chwili.

— Gdzieby zaś!.. Abo my to moma rozum na takie rzeczy?

— Więc któż?

— A któżby, jak nie ta Jagosia, której się teraz całkiem w głowie przewróciło!...

— To dlaczegożeście ją uczyli tkactwa?

— Eee!... My tam, proszę łaski wielmożnego *kunsylijarza*, uczyć byśmy jej sami, z dobra woli, nigdy nie kazali, bo co noma po tem! Ale tej „naszej kochanej pani“ coś się utroiło, że Jagosia warta lepszego losu, tak i zajmuje się nią, jak swoją córką, i nie bacząc ani na trud swój, ani na szkodę nijaką, posyła, wozi, przywozi, a pędzi do nauki, że człowiekowi i głowy by nie stało, jakby chciał to wszystko w rozumie objąć!...

— No! Tkactwo ładny przemysł i zaniedbany u nas. Możecie przecie z tego mieć jeszcze korzyść, chleb...

— *Iii!*... Korzyści z tego nijakiej nie będzie, a chleb to my i bez tego mieliśmy, bo nasza ziemia *lubińska* — to ziemia chlebna.... Gdzieindziej powiadają, to ludzie muszą i kamienie kopać i węgiel wydobywać z ziemi, i prząść, i tkać, i koszyki pleść, a u nas, Panu Bogu Najwyższemu dzięki, to i bez tego jest co jeść. Noma w roli ino robić, nie zaś na rzemiosło, albo na *andel* się puszczać. Toć siedzi u nas we wsi Paweł Sierak, co stracił kolonię po żonie, i tka od dwudziestu może lat, a i to dorobił się garba na plecach, a nogi ma jak kozioł, i jak zarobi przez dzień złotówczynę, albo czterdzieści groszy, to Panu Bogu dziękuje. Ale to „nasza kochana pani“, jak wzięła namawiać, a prosić, a molestować, żeby dać Jagosię na naukę, takeśwa z moim Michałem dali dziewczycę na pół roku i moma teraz tkacza w domu.

— I jakże jej to idzie?

— Niekoniecznie... Nie trza panu *konsylijarzowi* powiadać; wiadomo: głupie chłopy!... Na to potrzeba rozumu pańskiego i pieniędzy pańskich! Nasze kobiety, jak co uprzędą, to zaniosą do Sieraka, a nie, to do żydów do Każmierza! Gdzieby zaś im robić zgrzebne płótno na takim warsztacie ślicznym, jak kryształ!... Waśma z Michałem mówili zrazu „naszej kochanej pani“: a po co to jej taki trud i szkoda i zakłopotanie dla głupiej dziewuchy?... Abo to ona ma rozum na takie rzeczy?... Abo to kto będzie kupował takie śliczności?... Ale co było robić?... „Nasza kochana pani“ to już taka dobra, Jezus Maryja, że niczem jej nie przetłomaczy, jak sobie co w głowie ułoży! To też my nie wiemy teraz, jak się na nią patrzyć, jak do niej mówić, jak jej wydziękować!... Święta, kochana pani!... Żeby nie ona, to gdzieby noma, głupim chłopom, przyszło było do głowy brać się za takie *wielgie* rzeczy!... Wiadomo: chłop zorze, zasieje, zbierze, zmłóci, zmiele i zje, a co nie zje, to świniątkiem spasie, bydlątka się dochowa i sprzeda na podatki... Ale „nasza kochana pani“ to ma rozum, jak najwięksi panowie w Warszawie... Inoś tylko poznała się z naszą Jagosią, tak zaraz zaczęła mówić: a co będziecie marnowali *dzieuchę* na roli, kiedy z niej może być Bóg wie co, taka a taka, tak zaraz na drugie lato wzięła ją z sobą do Warszawy, a potem posłała tam, gdzieś, gdzie tak tkają, jak nigdzie na świecie... Kiedy przepomniałam, jak się to miejsce nazywa...

— Może Łódź — przerwał doktór.

— Nie, nie Łódź!... Inaczej, a tak trafnie.

— Kurpie — zawołała Jagosia z alkierza.

— Juści — że Kurpie. Bodaj-że cię!... Z początku markotno nam było bez dzieuchy; ale gdzieby tam kto patrzył na swoją wygodę, kiedy taka pani chciała jej *świarczyć* tyle *dobrości!*... Dzieucha, zwyczajnie jak dzieucha, ktole jej powie, to i usłucha; tak i była *kuntentna*, że ktoś na nią łoży, choć tego nijak niewarta! *Uuuch ty*!... Czego się tam śmiejesz pod pierzyną!?... Głupie to, bo głupie, ale zawsze pomoc z niej jakaś była i wyręka. Aż naraz tu trza kartofle kopać, a jej niema! Tomek, bywało, jedzie na kolej za zarobkiem, to go i cały dzień nie ujrzy, bo często i kawał nocy zarwie. Tomkowa niewiasta przy tylu dzieckowinach mało sobie rąk po same łokcie nie porabia. Mój to młóci, to sieczkę rznie od rana do wieczora, a ja stara ledwie że nogi za sobą włóczę! Tak noma bez Jagosi markotno było, że niema kto robić!... Podobno te nawet, jak ich tam nazywają, Kurpie, choć to Mazury, a dziwowały się same, że córka gospodarska siedzi na pokomornem u nich, miasto kartofle rodzicom kopać; ale cóż my temu winni?... Posyłaliśmy list za listem do Warszawy, że nijak sobie nie damy rady bez Jagosi, że kartofle nam zgniją w polu, ale ta „nasza kochana pani“ ani raz nie dała sobie przełożyć, ino słała pismo za pismem, że to na nasze i na jej, niby dziewczyny dobro; że jak się nauczy tkać podług formy, to i na posag sobie zarobi i będzie równa ludziom i żydów — tkaczy wypędzi z miasta... A pismo było takie śliczne, żeśmy się napatrzeć nie mogli, ażeśmy chodzili do xiędza!... Dziwno noma tylko było, jak tej „naszej kochanej pani“ się nie sprzykrzy robić tyle dobrości naprzekór głupiemu chłopstwu!... Ale to już widać takie dobre panisko z siebie, z wnętrza!... Swoich dzieci nie ma, bo jej Pan Bóg nie dał, to się choć za cudze bierze!... *Musi* markotno jej tak jałowo żyć i przeto na nic nie zważa, byle wygodzić ludziskom, byle oświecić to głupie chłopstwo, co żyje w ciemności, jak nieprzymierzając, te bydlątka, co na miedzy trawę skubią. Bo to i w zimie nie było komu prząść ani dzieci obszyć, a i na wiosnę, że wczesna była i trawa się puściła zrazu, to nie miał kto popaść bydlątka na miedzy, ino mnie starą pędzali, żem się rozchorowała z tego zimna i leżałam bez mała trzy tygodnie... Mój Boże!... Tu dzieciaki płaczą, lamentują wołają „Babciuu!... Babciuu!...“ a babcię *frybra* trzęsie i niema kto im ani kromki chleba ukrajać, ani, z przeproszeniem, nosa utrzeć, bo Jagosia się *uuczy*... To też mój Michał, zwyczajnie głupi chłop, jak się raz rozezłował, że nie było komu sieczki urznąć dla bydlątek, co przez cały odwieczerz z głodu ryczały w oborze, tak chciał już sam jechać do Warszawy. I już byłoby po wszystkiem, ino ja zaczęłam mu przekładać, że nie trzeba się sprzeciwiać „naszej kochanej pani“, bo i z urzędnikami z powiatu się szanuje, i tę naszą Jagosię tak umiłowała, jakby już innej we wsi nie było, coby mogła jechać na naukę. Tak i nie pojechał, bo i pieniędzy mu szkoda było na kolej i bał się, żeby mu co drogi w Warszawie nie zmyliło, gdzie, jak powiadają, ulic więcej, niż brózd u nas na niwie... Najgorzej tylko, że noma dokuczały okrutnie *somsiady*... Zwyczajnie: chłopy głupie i zazdrosne!... Wszystko to myślało, że ta „nasza kochana pani“ to tylko tak bałamuci z tą nauką, a po prawdzie, to ją wywianuje, jak się patrzy, kiedy jej Pan Bóg dzieci swoistych odmówił a i podstarnia już jest... To też ten i ów naśmiewał się z nas. „Ocho! ocho!... Kobuzicha nie ceruje dziur w koszulach zgrzebnych, bo zarazik będzie nosiła bieluśkie, jak pani wójcina, ino panna Jagnieszka przyjedzie z za morza!“...

(Ciąg dalszy nastąpi).

z klubu ruskiego w parlamencie. Równocześnie wystąpił także z tego klubu poseł Kuryłowicz. Stanął on onegdaj przed swoimi wyborcami na sejmiku relacyjnym w Sanoku. Zgromadzenie to uchwaliło jednomyślnie wezwać go, ażeby wystąpił z klubu ruskiego. Poseł Kuryłowicz natychmiast oświadczył, iż poddaje się woli swoich wyborców, wystąpi z klubu ruskiego, a co do przyszłej swojej akcyi poselskiej porozumie się z posłami Hlibowickim i Markowem. W ten sposób już czterej staroruscy posłowie wystąpili z klubu ruskiego. Piąty poseł staroruski x. Dawydiak stanie w poniedziałek na sejmiku relacyjnym przed swoimi wyborcami, którzy — jak na pewno wnosić wolno — również wezwą go, aby wystąpił z klubu ruskiego. Zatem rozdział starorusinów od ukraińców uważać można za już dokonany. Następstwem jego będzie oczywiście powstanie w parlamencie klubu staroruskiego, czyli rozbicie klubu ruskiego na: ukraiński i ruski.

Dyrektorem dramatu i komedyi w Warszawie nie będzie już p. Kazimierz Zalewski; wypracował on już memoryał i przedłożył go rządowi. W memoryale tym wyłuszczył wszystkie swoje postulaty. Władza rządowa, przeczytawszy ten memoryał, przeraziła się ogromem kosztów i postanowiła powierzyć kierownictwo dramatu i komedyi p. Ludwikowi Śliwińskiemu, dotychczasowemu kierownikowi operetki.

Sprawdziło się więc znowu znane francuskie przysłowie, że: *le mieux est l'ennemi du bien* (lepsze jest wrogiem dobrego). P. Zalewski chciał zapewne zrobić bardzo dobrą scenę, przesadził i doprowadził do tego, że dramat i komedya w Warszawie będzie stała na wysokości operetkowej.

W Medyce zakłada dr. Stanisław Kaczurba pensyonat wychowawczy dla dzieci nerwowych i umysłowo anormalnych.

Casa Blanca, gdzie Marokanie zamordowali przed paru dniami według jednych 8, a według innych 13 Europejczyków, jest drugim z rzędu najważniejszym portem pomiędzy 8 miastami nadbrzeżnemi, które są w Maroko otwarte dla handlu europejskiego. Casa Blanca leży na północno-zachodniem wybrzeżu Maroka, pomiędzy Rabat i Assemur, została już w r. 1468 zdobyta przez Portugalczyków, którzy przez 200 lat staczali o nią walki z Maurami. Ku końcowi XVII wieku miasto zostało zniszczone przez trzęsienie ziemi i wtedy Portugalczycy opuścili je. W połowie XVIII wieku odbudował je Mulej Izmael i odtąd miasto wzrastało coraz bardziej. Dzisiaj Casa Blanca zajmuje pierwszorzędne stanowisko w handlu wewnętrznym, równie jak zewnętrznym, liczy 25.000 mieszkańców, pomiędzy nimi 5.000 żydów i 400 chrześcijan. Dla Europejczyków istnieje Klub międzynarodowy i hotel hiszpański, a raczej pensyonat, gdzie mieszkanie i utrzymanie kosztuje zaledwie pięć franków dziennie. W r. 1898 przywóz wynosił 4,320.148 marek, wywóz 5,745.876 marek.

Powodem wymordowania tych kilku czy kilkunastu Europejczyków, była następująca okoliczność: Marokańczycy przypuszczali, że postanowienia traktatu w Algeciras pozostaną jak zwykle w Maroku na papierze. Tymczasem roboty, przedsięwzięte w Casa Blanca wskazywały, że mocarstwa myślą na seryo o wprowadzeniu w życie traktatu w Algeciras, i oto w tym celu rozszerzają port w Casa Blanca, abyFrancya miała pewne oparcie dla swojej floty i swojej armii. Jacyś agitatorzy podmówili więc fanatyczny motłoch muzułmański, a ten rzucił się na Bogu ducha winnych robotników, pracujących w porcie i obyczajem wschodnim ukamienował ich.

Czysty zysk Paderewskiego z ostatniego koncertu w Queens Hall'u wynosił 1000 funtów szterlingów (25.000 koron).

Morderca kobiet. Nie przebrzmiały jeszcze wieści o zbrodni mordercy dzieci w Berlinie, gdy oto nadchodzą znów depesze z Nowego Jorku, donoszące o dwóch zbrodniach, popełnionych tam przez jakiegoś niewykrytego dotychczas szaleńca. Ofiarą tych zbrodni padły kobiety. W ciągu dwunastu godzin znaleziono na ulicach Nowego Jorku dwie młode kobiety ze śladami uduszenia na szyi i z twarzą tak pokrajaną, że rozpoznać ich niepodobieństwo. Policya przypuszcza, że zbrodnie te popełniła jedna i ta sama osoba.

Jedną z ofiar jest młoda 25-letnia dziewczyna w eleganckiej toalecie; znaleziono ją w suterenie wytwornego domu, w eleganckiej dzielnicy miasta. Policya z różnych wskazówek wnosi, że ofiara broniła się rozpaczliwie i że morderca musiał z nią stoczyć upartą walkę. Odciski na szyi świadczą, że morderca miał niezwykle dużą rękę. Zwłoki po zabójstwie były w okropny sposób pokrajane nożem. Nie było to jednak morderstwo, dokonane przez zemstę, lecz dzieło szaleńca. Identyczności osoby dotychczas nie ustalono.

Z powodu tych potwornych zbrodni w Berlinie i w Nowym Jorku wykazuje neurolog dr. Z. Placzek w *Berl. Lokal Anzeigerze* zależność pomiędzy stanem atmosfery a wzmożeniem się zbrodni na tle zboczeń psychicznych i seksualnych. Zdaniem dr. Placzeka procent zbrodni z cechami najrozmaitszych zboczeń wzrasta zwykle w ciągu lata, a spada natomiast w ciągu jesieni i zimy. Najbardziej krytycznymi pod względem przestępstw są zwykle miesiące czerwiec, lipiec i sierpień. Oprócz upałów, których zresztą w tym roku nie było, ważną rolę odgrywa tu alkohol, jako środek zatruwający cały system nerwowy. Dr. Placzek jest także zdania, że wogóle zbyt lekko jest traktowana kontrola lekarska nad obłąkanymi, którzy tylko po spełnieniu czynu anormalnego, a często zbrodniczego, bywają dopiero internowani.

Samobójstwo. Niejaka Landkutscherowa, żona czeladnika krawieckiego, otruła się wczoraj wieczorem w mieszkaniu swojem przy ul. Słonecznej l. 19. kwasem karbolowym. Ponieważ stwierdzono, że mąż jej znęcał się nad nią, a nawet miał jej dopomódz do samobójstwa, tedy aresztowano go.

Śmierć pijaka. Policya aresztowała dzisiaj pijanego murarza, Franciszka Geneja. Gdy odprowadzono go do aresztu, zmarł nagle na udar serca.

Aleksander Bandrowski. *Gazeta Narodowa* donosi, że znakomity ten artysta został zaangażowany do Warszawy na cały sezon operowy, t. j. od października do maja. Będzie śpiewać Wagnerowskie opery i partyę Domana w „Starej Baśni".

Notujemy to doniesienie z żalem, iż p. Bandrowskiego nasza dyrekcya nie zaangażowała, ponieważ bez niego nie ma mowy o sezonie Wagnerowskim na naszej scenie.

Rozumiemy jednak dobrze, że z dyrekcyą warszawską i funduszami, jakimi rozporządza opera warszawska, nie mógł konkurować teatr lwowski. Ale z tem wszystkiem może jeszcze uda się pozyskać p. Bandrowskiego przynajmniej na gościnne występy od czasu do czasu.

Polak na katedrze profesorskiej. Ziomka naszego, dra Bolesława Bronisławskiego powołano na katedrę fizyki w uniwersytecie w Liège. Dr. Bronisławski, będąc studentem uniwersytetu warszawskiego w r. 1888, został aresztowany, a następnie wysłany do twierdzy szliselburskiej, skąd po czteroletnim pobycie wysłano go na Syberyę. Z Syberyi udało się drowi Bronisławskiemu uciec zagranicę, do Belgii, gdzie poświęcił się pracy naukowej.

Gabel, a nie Dyabeł. *Ruskij Selanyn* pisze: Z parlamentu donoszą nam, że do posła dra Gabla nadchodzi wiele listów od szanownych wyborców z powiatu buczackiego, adresowanych: W. P. dr. Dyabeł, poseł do Rady państwa w Wiedniu. Zwracamy więc uwagę czcigodnych wyborców z buczackiego, że ich poseł nazywa się Gabel, a nie Dyabeł.

Z kolei. C. k. Dyrekcya kolei państwowych we Lwowie zamierza powierzyć czynność przeładowywania w stacyi Brody towarów, przechodzących z Rosyi na linie austryackich kolei żelaznych i dlatego w Brodach przeładować się mających, odpowiedniemu przedsiębiorcy w drodze publicznej rozprawy ofertowej, począwszy od dnia 1 października 1907 na czas nieograniczony. Obwieszczenie dotyczące tej rozprawy ofertowej ogłosi *Gazeta Lwowska* w numerze z dnia 4 sierpnia b. r.

Dotyczące oferty, które muszą być wygotowane w myśl wspomnianego obwieszczenia z uwzględnieniem umieszczonej w niem tabeli maksymalnych cen, mają być wniesione najpóźniej do dnia 16 sierpnia b. r. godzina 12 w południe do c. k. Dyrekcyi kolei państw. we Lwowie.

Wadyum wynosi 500 koron. Bliższe warunki podane są we wspomnianem obwieszczeniu *Gazety Lwowskiej*, a ponadto zaczerpnąć można szczegółowych wyjaśnień i informacyi w tej sprawie ustnie w dniach powszednich między godziną 9 rano a 2 po południu w oddziele dla służby ruchu w c. k. Dyrekcyi kolei państw. we Lwowie (ul. Krasickich l. 5, II piętro, biuro nr. 235).

Zabiegi Prusaków o niemczenie żydów polskich. W żydowskim tygodniku *Jutrzenka*, wychodzącym w Warszawie, czytamy:

„Jakiś pan Ruheman rozesłał po Królestwie Polskiem prospekt, zapowiadający, że wydawać będzie w Jahannisborgu w Prusach pismo tygodniowe dla ludu żydowskiego w narzeczu *żydowsko-niemieckiem* głoskami hebrajskiemi. Prospekt tej publikacyi zapowiada, iż narzecze stopniowo się zamieni na *czysty język niemiecki* — i to ma być rozwojem pisma tego, szczytem, którego dopięcie redaktor uważa jako wielką zdobycz dla cywilizacyi naszego ludu. Pismo to oczywiście dla polskich żydów założone, bo w Niemczech współwyznawcy nasi już dawno mówią czystym językiem niemieckim istnieć będzie tylko siłami naszego kraju — pracą naszych korespondentów i pieniędzmi naszych prenumeratorów. Jest więc ono jedną z tych spekulacyi, którą zagranica wyzyskuje kraj nasz, dostarczającemu towaru, jakiegoby na Zachodzie nikt kupować nie chciał. To nas zniewala, że wydawcy tego pisma, p. Ruhemanowi, otwarcie powiedzieć musimy, że niepotrzebnie zadaje sobie pracę z reformowaniem ludu naszego. Już my sobie poradzimy tutaj i bez niego; nie brak nam pism ludowych rozmaitej treści i wartości narodowej, a wszystkie są bardzo tanie, bo nie wydawane dla spekulacyi, ale z bezinteresownym zamiarem oświaty ludu i mają jeszcze tę główną zaletę! iż są pisane po polsku. Owo zaś narzecze żydowsko-niemieckie wszystkich nas do rozpaczy przywodzi, chcielibyśmy się go jaknajśpieszniej pozbyć, nie zaś krzewić, nie tworzyć dla niego literatury odrębnej, ani uwieczniać podnoszeniem do rzędu języków, mających piśmiennictwo i dziennikarstwo.

„P. Ruheman wzywa do współudziału w tej spekulacyi wszystkich mężów nauki, a my zaklinamy ich w imię drogiej nam i takim cudem zdobytej nadziei oświaty narodowej, aby swej ręki do tego dzieła nie przykładali.

„Zaklinamy wszystkich przyjaciół postępu i pokoju, aby pisma p. Ruhemana nie popierali, owszem, aby wszelkich używali sił do wyrugowania z kraju naszego tego i podobnych mu zabytków średniowieczyzny, którymi zachód Europy tak chętnie nas darzy i które u samego siebie już dawno na śmietniki wyrzucił.

„Nadzieja zaś, którą nas p. Ruheman durzy, iż powoli przejdzie z narzecza do czystego języka niemieckiego, gdyby się kiedyś nadspodziewanie ziścić miała, dla nas żadnego nie ma powabu, bo my *chcemy* i kraj ma prawo domagania się tego, aby w Polsce lud żydowski mówił po polsku. Nie czynimy zagranicą kraju naszego propagandy polszczyzny, niech więc i zagranica przestanie wszelkimi środkami dążyć do wynaradawiania ludu naszego. Mało jej jeszcze zniemczonych żydów poznańskich, w Galicyi i w prowincyach nadbałtyckich, że ośmiela się wyciągać ręce po polskich i litewskich.

„Póki więc czas, zniszczmy złe w samym zarodku, usuńmy nawet czysty język niemiecki jako wykładowy ze szkół naszych, bo język ten w ustach ludu przeradza się w krótkim czasie na narzecze, potępiane przez nasz ogół oświecony, i aby naszym działaniom nadać większy nacisk, postanówmy stale przemawiać do ludu nie innym językiem, tylko czystym polskim".

Temperatura dnia 1 sierpnia o godz. 7-mej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +13, we Lwowie +12, w Tarnopolu +13, w Czerniowcach +14, w Wiedniu +14, w Salcburgu +13, w Gracu +12, w Pradze +12, w Tryeście +19, w Abbazyi +19, w Raguzie +22, w Budapeszcie +16, w Berlinie +10, w Hamburgu +11, w Monachium +13, w Zurychu +13, w Genewie +12, w Lugano +17, w Anglii +11, w Paryżu +11, w Biarritz +15, w Nizzy +21, w północnych Włoszech +18, we Florencyi +19, w Rzymie +18, w Neapolu +21, w Palermo +25, w Madrycie +18, w Sztokholmie +16, w Petersburgu +15, w Wilnie +12, w Warszawie +12, w Moskwie +16, w Kijowie +15, w Odessie +20, w Serajewie +14, w Belgradzie +16, w Bukareszcie +22, w Sofii +19, w Konstantynopolu +24, w Atenach +28. (Temperatura według Celsiusza).

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano + 12 R. w poł. + 14 R. Bar. 768. Spada. Pochmurno.

Podczas obiadu.

Mama: Ależ Zosiu, wylizujesz talerz... przy gościach?...

U pierwszorzędnego krawca.

— Jakto, odmawia mi pan kredytu? Przecież pan mnie zna.

— Znam, ale właśnie znajomym nic na kredyt nie daję.

— A gdybyś pan mnie nie znał?

— Toby na jedno wyniosło, bo nieznajomym nigdy nie udzielam kredytu.

Widowiska i koncerty.

Colosseum Hermanów od 1 do 15 sierpnia. *Jej Ekscellencya Małgorzata Fehim-Pasza* na czele swojej trupy *the Morgan Family*. — *Sposób na męża*, groteska w 1 akcie. — *Bros Leigh*, kom. burleska bilardowa.— *Vitograph* i 10 nowości. W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godzinie 4-tej i 8-mej.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 1 sierpnia.

(Z). Trwający już od dłuższego czasu spadek kursu konsoli angielskich nie ustaje. Wprawdzie w całej Europie skonstatować można obniżenie się kursu stale oprocentowanych walorów lokacyjnych, ale nigdzie nie występuje ono tak jaskrawie, jak w Londynie. Dzisiejszy kurs konsoli angielskich ($82\frac{3}{4}$ — $82\frac{7}{8}$) jest najniższym, jaki notowano od roku 1848. Co prawda, wtedy przynosiły konsole swym posiadaczom 3%, a dziś przynoszą tylko $2\frac{1}{2}$%. Wobec dzisiejszego kursu giełdowego rentowność konsoli wynosi właściwie przeszło 3%.

Trzyprocentowa stopa konsoli angielskich utrzymana była przez lat kilkadziesiąt, aż do roku 1889. W tym roku zniżono procent od nich na $2\frac{3}{4}$% przy pomocy wymyślonej przez ministra skarbu Goschena słynnej konwersyi t. zw. biernej, polegającej w tem, iż kto się do wyznaczonego terminu nie zgłosił po odbiór wartości nominalnej swych konsoli, temu państwo obniżyło procent od nich z 3 na $2\frac{3}{4}$%. Już w planie tej konwersyi było przewidziane, że w r. 1903 procent od konsoli automatycznie bez żadnego poprzedniego wezwania zostanie w dalszym ciągu zniżony na $2\frac{1}{2}$%. Na parę lat przed tym terminem zaszły ważne w dziejach Anglii wypadki, a mianowicie wojna południowo-afrykańska. Część jej kosztów pokryto przez emisyę nowych partyi konsoli, a mianowicie w kwietniu 1901 wypuszczono 60 milionów funtów szterlingów po kursie $94\frac{1}{2}$ za 100, a w roku następnym 32 milionów funtów szterlingów po kursie już tylko $93\frac{1}{2}$. W dwadzieścia miesięcy później, t. j. w r. 1903 został procent od konsoli automatycznie obniżony na $2\frac{1}{2}$% i od tego czasu stale obniża się wartość kursowa konsoli, przyczem niemałą rolę odgrywa także falowanie stopy procentowej w Europie. Bądź co bądź uderzającem jest to, że dziś, po szeregu lat pokojowych, gdy wszystkie gałęzie gospodarcze w Anglii wykazują świetny rozwój, kurs konsoli jest o 10% niższy niż był tuż po wojnie południowo-afrykańskiej.

Jedną z przyczyn tego zjawiska jest to, że targi europejskie w ciągu lat ostatnich zostały zbytnio przesycone papierami lokacyjnymi. Oprócz obu emisyj konsoli na sumę 92 milionów funtów szterlingów, musiały targi wchłonąć w siebie także pożyczki rosyjskie z lat 1905 i 1906 na sumę $3\frac{1}{2}$ miliardów franków, tudzież ogromną pożyczkę japońską, nie licząc mnóstwa pożyczek drobniejszych. Bajeczne kapitały zabsorbował także przemysł, — to też nie dziw, że każda nowa pożyczka da się dziś sfinansować tylko wtedy, gdy nabywcom jej walorów uśmiecha się wysoki procent. A i wtedy nawet nie zawsze rezultat jej jest pomyślny, bo oto np. niedawno urządzono w Londynie emisyę 5-procentowej pożyczki mandżurskiej po kursie 97 i połowa obligów nie znalazła amatorów.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Towarzystw rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 2-ego sierpnia 1907 r.) Usposobienie dzisiejszego targu było decydująco mocne. Żniwa znajdują się w pełnym toku, a wskutek tego zaofiarowanie i podaż jest mała, tak, że kupujący zmuszeni byli płacić najwyższe ceny. Ważną wiadomością, jaką dziś zakomunikować możemy, jest agitująca się w kołach kupieckich myśl urządzenia tej jesieni z końcem września, lub z początkiem października większego targu zbożowego w Krakowie, któryby dał możność młynarzom z Moraw i Szląska, gdzie gatunki zboża są w tym roku gorsze, zaopatrzenia się w towar galicyjski. Jak bowiem już z pierwszych prób naszego zboża można ocenić, zboże nasze przedstawia się w tym roku pod względem jakości zupełnie dobrze i leży w interesie zarówno producentów jak i kupców, aby myśl ta, urządzenia targu, będącego bardzo na czasie z uwagi na zdolność konkurencyjną w przeciwstawieniu do cen i gatunków zboża węgierskiego, mogła być urzeczywistniona i aby rynek krakowski, od dłuższego czasu zaniedbany, na nowo mógł się podnieść.

Sprzedawano: pszenicę białą od 11·00 do 11·25 koron, czerwoną od 10·80 do 11·20, żyto od 9·00 do 9·50, jęczmień od 8·25 do 9·00, owies od 9·30 do 9·60, groch zwykły od 10·00 do 11·00, groch Victoria do 12·00 do 14·50, groch (do siewu) na paszę od —·— do —·—, wyka nowa od 7·00 do 8·00, bobik od 8·00 do 8·50, kukurudza stara od 0·00 do 0·00, nowa od 7·60 do 8·00, Cinquantino od 8·35 do 8·50, otręby pszenne od 6·40 do 6·70, żytnie od 6·60 do 6·80, rzepak od 17·00 do 17·50, koniczyna nasienna czerwona od 00·— do 00·—, biała od 00·— do 00·—, tymotka od 00·— do 00·—. Wszystko za 50 klgr.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Spezia. Portowe to miasto włoskie było wczoraj wieczorem widownią demonstracyj antiklerykalnych. Około 1.000 manifestantów usiłowało szturmować do kościoła Salezyanów i obrzuciło żołnierzy kamieniami. Żołnierze dali ognia. Jeden z demonstrantów został zabity, dwaj ranni.

Seul. Ze strony dobrze poinformowanej donoszą, że podczas onegdajszych starć było zabitych i ranionych 60 Koreańczyków, a 40 Japończyków. Około 3.000 żołnierzy koreańskich, którym wypłacono żołd, dało się rozbroić bez wszelkiego oporu. Dochodzi wieść, że komendant pewnego batalionu odebrał sobie życie. Żołnierze tego pułku napadli na oficerów japońskich, którym towarzyszyło mało żołnierzy. Około 100 żołnierzy koreańskich uszło z bronią.

Haga. Konferencyi pokojowej wręczono memoryał, zwracający się przeciw zarządowi Bośni i Hercegowiny przez Austro-Węgry. Memoryał wywodzi, że jak długo Bośnią rządzić będą Austro-Węgry, nie będzie spokoju na Bałkanie. Memoryał jest inspirowany przez rząd serbski.

Nowy Jork. Wszelkie zabiegi policyi nie zdołały dotąd wykryć tego zbrodniarza, który w parku miejskim zamordował młodą 25-letnią, wytwornie ubraną kobietę. Po zamordowaniu jej pastwił się nad nią w sposób okrutny.

Berlin. *Nordd.-Alg.-Ztg.* pisze: Zjazd w Swinemünde jest odpowiedzią cara na wizytę, którą mu cesarz Wilhelm złożył w roku 1906 w lipcu na wodach fińskich. Pobyt w Swinemünde jest aktem osobistej grzeczności, a żadne cele polityczne nie spowodowały tego zjazdu. Niema więc żadnego powodu do nieufności z powodu tego zjazdu.

(Depesze popołudniowe).

Poznań. Przed sądem w Gnieźnie odbył się proces przeciw kilku gospodarzom z powodu urządzenia pochodu publicznego na powitanie X. Formanowicza, opuszczającego więzienie. Obwinionych włościan skazano na kary po 10 marek lub 2 dni aresztu, kobiety na 5 marek lub jeden dzień aresztu.

Poznań. Xiądz Teofil Gapczyński, proboszcz rogoziński, stawił się wczoraj w więzieniu wronieckiem celem odbycia 3 miesięcznego więzienia za obronę polskiej nauki religii. X. proboszcz Piotrowicz, odsiedziawszy karę więzienia we Wronkach, wrócił do Gniezna.

Wilno. Kurator miejscowego okręgu naukowego zawiadomił dyrekcye szkół ludowych, że ministerstwo oświaty zezwoliło na mianowanie na posady nauczycielskie w szkołach początkowych, w których uczniowie są katolikami, osób wyznania rzymsko-katolickiego, pochodzenia litewskiego lub rosyjskiego.

Warszawa. Wczoraj popołudniu chciał agent policyi śledczej aresztować przy ul. Elektoralnej pewnego młodzieńca, w którym poznał uczestnika bandy rozbójniczej. Aresztowany zranił wystrzałem z rewolweru agenta, a następnie schroniwszy się do bramy domu, dwoma wystrzałami na schodach domu ciężko się zranił. Bandytą, który nazywa się Jan Miecz, zajęła się policya. Agenta odwieziono do szpitala.

Paryż. Agencya Havasa donosi z Algieru: Krąży tu pogłoska, którą należy jednak przyjąć z zastrzeżeniem, jakoby zrabowano bank państwowy w Tangerze. Słychać również, że w drodze pomiędzy Tangerem a Elksar, pojmano i uprowadzono angielskiego konsula.

Paryż. Z Tulonu wyruszyły dziś rano 4 okręty wojenne do Marokka; za kilka dni odpłynąć ma jeszcze jeden krążownik.

Tanger. Pogłoski o zrabowaniu banku państwowego i uprowadzeniu angielskiego konsula okazały się nieuzasadnione. W Tangerze panuje zupełny spokój.

Paryż. Współpracownik dziennika *Echo de Paris* rozmawiał z francuskim ministrem spraw zewnętrznych, a ten mu oświadczył, że Włochy dały rządowi francuskiemi i hiszpańskiemu pełnomocnictwo do poczynienia w Casablanca takich kroków, jakie dla ochrony włoskich poddanych uznają za stosowne. Francya— mówił minister—wysyła do Marokka 3.000 wojska; wojsko to obsadzi natychmiast Casablanca w porozumieniu z dowódcą wojska hiszpańskiego, które tam również przybędzie.

Do 8 dni będzie Casablanca obsadzone przez wojska francuskie i hiszpańskie. Hiszpanie obsadzą bramy miasta i postarają się europejskim mieszkańcom, którzy musieli uciekać do Tangeru, umożliwić powrot. Wojska obu państw dopóty pozostaną w Marokku, dopóki nie będą wytępione bandy, które urządziły ostatnie rzezie. Bombardowanie Casablanca nie jest zamierzone. Roboty portowe będą dalej prowadzone. Minister wyraził zarazem przekonanie, że Niemcy nie sprzeciwią się akcyi, podjętej przez Francyę i Hiszpanię.

Swinemünde. Cesarz Wilhelm wyjechał dziś o godz. 8·10 rano na jachcie „Hohenzollern" na spotkanie cara rosyjskiego.

Londyn. Do *Daily Telegraph* donoszą z Tangeru, że zrabowano miasto Silfrou, położone o 6 godzin drogi od Fezu. Położenie sułtana Marokka ma być prawie beznadziejne. Wszystkie szczepy górskie są za Rajzulim, podczas gdy siły wojenne sułtana są niewystarczające.

Berlin. Do *Local Anzeigera* donoszą z Warszawy: Wczoraj wydał sąd wojenny wyrok w sprawie 67-miu oskarżonych członków socyalno-demokratycznej organizacyi bojowej, którym zarzucono popełnienie szeregu aktów terorystycznych. Skazano 1 na śmierć przez powieszenie, 2 na karę po 15 lat, 1 na 10 lat, 6 po 8 lat, 1 na 6 lat, 11 po 5 lat 4 mies., 1 kobietę na 5 lat robót przymusowych, 44 oskarżonych uwolniono.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30, Wiedeń 3 sierpnia.

Marki 117.55, renta majowa 96 75, węgierska renta koronowa 92·30, akcye: austr. zakł. kredyt. 650 25, węg. zakł. kred. 750 00, anglobanku 304 50 unionbanku 540 00, bankvereinu 534 75, länderbanku 432.50, kolei państw. 657 25, lombardy 155 25, akcye kolei Elbethal 000 00, fabryki broni 000.00, tytoniowa 000·00, alpiny 594 00, Rima Muranyi 541 00, prag. T. żel. 2608, losy tureckie 182 50 ruble 253 25. Usposobienie: utrzymane.

5% renta rosyjska 1906 r. 83·10.

Lwów 3 sierpnia. (Z izby handlowej)

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 400 Koron —.— do —.—. Kolej dworsko-Czern.-Jassy po 400 kor. 557.— do 563.—. Banku hipotecznego po 400 kor. 568·00 do 576·00 Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 400.— do 500.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 400·—410.—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 110 50 do 111 20 4 i pół proc. los. w 50 lat 099 20 do 099 90. 4 proc. los. w 60 lat 94·90. do 95 60. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 099·70 do 100 40. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 95 10 do 95 80.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 00 00, 4 proc. los w 41 i pół latach 97·00 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 95 30 do 96·70.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 96 80—97·50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101 00 do 101·70. Kom. Banku kraj. $4\frac{1}{2}$% (3-ej emisyi) 099 70 do 100 40. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 93 50 do 94 20. Pożyczki kraj. z r. 1873 proc. —.— do —.— 4 proc. z 1893 r. 93 50—94.20, miasta Lwowa 4 proc. 93.20 do 93 90, 4% bez podatku (konwers.) 96.00 - 96.70,

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***, 5.50*, 7.25, **8.55**, 9.45 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16**, 5.40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00**, 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20***, 8.05, **2.25**, 3.55, 9.00*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, **1.55**, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*
Z Tuchli: 3.51.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45***, 3.45*, **8.25**, 8.40, **2.45**, 6.15*, **7.05***, 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.05.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17**, 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.08, **2.32**, 7.24*, 11.35*.
Do Czerniowiec: **2.51**, 6.10, 9.20, **1.55**, 10.40*
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 6.12, 7.10*.
Do Jaworowa: 6.58, 6.30*.
Do Sambora: 6.00, 9.05, 4.30, 10.51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 2.25.
Do Przemyśla, Chyrowa: 4.05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.26, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50.

Pociągi lokalne:

Do Lwowa:

Z Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 8·25, 5·30 popołud. i 8·20 wieczór; (od 5 maja do 29 września wł. w niedziele i rz. kat. święta) 1·46 popołudniu; (od 1 czerwca do 31 sierpnia wł. w niedziele i rz. kat. święta) 10·05 przedpołud.; (od 5 do 31 maja, od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta, zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 9·35 wieczór.

Z Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie 1·15 popołudniu i 9 25 wieczór; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 10 10 wieczór.

Ze Szczerca od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta o 9·40 wieczór.

Z Lubienia od 12/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. k. święta o 11·50 wieczór.

Ze Lwowa:

Do Brzuchowic (od 5 maja do 29 września wł.) 2·28, 3·45, 5·45 popołudniu; (od 5/5 do 29/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 12·41 popołudniu; i (od 1/6 do 31/8 wł. w niedziele i rz. kat. święta) 9·05 rano; (od 5 do 31 maja i od 1 do 29 września w niedziele i rz. kat. święta zaś od 1 czerwca do 31 sierpnia codziennie) 8 84 wieczór.

Do Rawy ruskiej 11·35 w nocy (każdej niedzieli).

Do Janowa (od 1/5 do 30/9 wł. codziennie), 9 15 przedpołud. i 8·35 popoł.; (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta) 1·35 popołud.

Do Szczerca 10·45 przedpoł. (od 26/5 do 15/9 wł. w niedziele i rz. kat. święta).

Do Lubienia 2·10 popoł. (od 12/5 do 15/9 w niedziele i rz. kat. święta).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

14)

JERZY OHNET.

Między sztuką a bogactwem.

(Ciąg dalszy).

Zdejmowała z głowy dyadem piór Seliki. Na dźwięk drogiego jej głosu pytającego, czy można wejść, odpowiedziała okrzykiem radośnym i zarumieniona pobiegła na spotkanie upragnionego przybysza.

— Co się stało? — zagadnęła — masz dziś minę zadowoloną.

— Pracowałem dzień cały; dobrze mi szło; skończyłem rozpoczętą scenę.

Oczy Ewy promieniały szczęściem. Wiadomość, że zabrał się na nowo do pracy, była jakby dowodem wiernego dla niej uczucia Derstala: jednoczył się z nią sercem i talentem.

— Dlatego to nie widziałam cię już od tygodnia — mówiła — zajęty byłeś przygotowaniem materyałów.

Nic na to nie odpowiedział, ale pełen dobrych chęci, rozwodzić się zaczął nad szczegółami dalszych planów twórczych. Ona słuchała rozradowana; zapomniała o przestrogach Lavirona; wierzyła, że Derstal pozostał jej wiernym. Flirt artysty z damami wielkiego świata był koniecznem następstwem jego sławy, a złośliwe pogłoski o układach z dyrekcyą teatru w Nowym Jorku wynikały z zazdrości, pobudzonej sukcesami znakomitego kompozytora. Prawdą tylko nieomylną była jego obecność w jej gabinecie, był entuzyazm, z jakim wyrażał się o dziele, którego piękności Ewa miała uwydatnić wobec zachwyconych „Wenecyanką“ słuchaczy. Ochłonąwszy z pierwszego uniesienia, Oliwier mówić zaczął o zamiarach, mających zabezpieczyć możność jego pracy w przyszłości.

— Tu zanadto jestem roztargniony — dowodził — nieszczęsna lekkomyślność moja staje owej pracy na przeszkodzie; przy nadarzonej sposobności trudno mi oprzeć się chęci używania rozrywek. Muszę zamknąć się w jakim zakątku, gdziebym nikogo nie znał i nic mnie nie odrywało od zajęcia; schronić się do jakiej malowniczej miejscowości, pobudzającej natchnienie artysty... Dla ukończenia „Wenecyanki“ chcę osiąść na dwa miesiące w Wenecyi, w mieście, gdzie się rozgrywa akcya mego dramatu, gdzie łatwiej mi przyjdzie przejąć się życiem, uczuciami, cierpieniami występujących w nim osobistości.

— Pojechałbyś tam bezemnie, skoro zerwać umowy z dyrekcyą Opery nie mogę? Pozostawiłbyś mnie samą w Paryżu? — pytała Ewa smutnie.

— Stanowi to dla mnie konieczność nieodzowną — odpowiedział niemal szorstko. — Tu warunki bezczynnego, eleganckiego światowego życia niweczą najlepsze postanowienia moje. Gotowaś mi powiedzieć, jak Pinchart: „odosobnij się“. Niezdolny jestem do podobnego wysiłku. Tryb życia, jaki prowadzę od roku, szkodliwy dla mego talentu. Jeśli nie wyrwę się z obniżającego poziom mojej inteligencyi środowiska, będę zgubiony. Powinienem korzystać z odblysku zbudzonej u mnie energii. Gdybym zwlekał, mogłoby potem być za późno.

— Czyż tak słabym jesteś wobec pokusy? nie możesz jej przeciwstawić siły woli?

— Kiedy właśnie zawodzi mnie ta siła woli; lepiej więc nie narażać się na niebezpieczeństwo. Nie świadczy to o bohaterstwie, ale rozsądek tak postąpić nakazuje.

— Uwzględniam pobudki twoje — odparła Ewa — boleśnie mi jednak rozstawać się z tobą. Stracić cię stanowiłoby największe dla mnie nieszczęście, ale traciłabym cię zarówno, gdybyś odjechał do Wenecyi, jak gdybyś porzucał mnie dla wielkoświatowych rozrywek. W pierwszym wypadku ta przynajmniej wynikłaby korzyść, że mógłbyś dokończyć twojej partytury. Czy tylko pewny jesteś, że ją dokończysz? W Wenecyi zarówno jak w Paryżu, piękne panie mogą stanąć na przeszkodzie w urzeczywistnieniu twoich dobrych postanowień oddania się wyłącznie pracy. Czy zresztą nie zamierzasz jechać do Włoch dla pracowania tam nad Leonorą d'Este?

— Nie, na to daję słowo! — zaprotestował, rumieniąc się Derstal.

— Nie zaprzeczasz, że podjąłeś się napisania tej opery? — pytała.

— Umowa jeszcze nie podpisana.

— Dałeś jednak przyzwolenie słowne?

— Mogę je cofnąć.

— Wziąłeś zaliczkę pieniężną?

— No, tak! — zawołał z gniewem — i to właśnie mnie krępuje. Muszę stąd wyjechać. Żyłem nad stan, jakbym posiadał kapitały, a posiadam jedynie prawa autorskie. Chcąc odzyskać swobodę działania, zniewolony jestem zagrzebać się w jakiej dziurze, gdziebym nic nie wydawał, a na śmierć się zapracowywał. Tym sposobem tylko zdołam na wierzch wypłynąć, pospłacam długi i będę znów panem położenia.

— Jedź w takim razie.

Objął Ewę ramieniem, przycisnął ją do serca i zawołał z uniesieniem:

— Widzę, że mnie kochasz prawdziwie, nie samolubnem uczuciem.

— Pamiętaj o tem zawsze — rzekła, obcierając łzę z oka.

Zastukano do drzwi.

— Panno Brillant, czy pani gotowa?

— Schodzę za chwilę.

Zawołała służącą, przywdziała płaszcz królewski i zwracając się do Derstala, prosiła:

— Zejdźmy razem; pragnę, aby cię obok mnie widziano; zaniedbywałeś mnie w ostatnich czasach, uchodzę za opuszczoną przez kochanka kobietę.

Przyciągnęła go do siebie i ucałowała czule.

— Chodźmy, publiczność czekać nie zwykła.

Nazajutrz rano około dziesiątej Oliwier dzwonił do Lavirona. Krytyk zamieszkiwał od lat trzydziestu dom, którego okna od tyłu wychodziły na ogród Sercanek. Podobały mu się cisza, spokój panujące w tej dzielnicy. Żył tam wśród książek i rycin, dla rozrywki grając niekiedy na skrzypcach, z czem krył się starannie przed drugimi. Autor siedział za stołem, zajęty poprawianiem manuskryptu, traktującego o muzyce XVIII-go wieku. Surowy wyraz jego twarzy nie ustąpił przy powitaniu gościa; wyciągnął do niego dłoń obojętnie.

— To ty, Derstal? Przypomniałeś sobie, że żyję jeszcze? Co cię przywiodło w to miejsce, dalekie od modnych, uczęszczanych przez ciebie salonów?

— Przychodzę cię pożegnać, kochany mistrzu — odpowiedział artysta, nie zwracając pozornie uwagi na cierpkie powitanie gospodarza.

— Masz zamiar odbywać podróże?

— Nie, kochany panie; chcę pracować.

— Ho! ho! naprawdę?

Twarz Lavirona złagodniała; wpatrywał się w młodego człowieka z zajęciem.

— Nad czem chcesz pracować? — zagadnął.

— Nad „Wenecyanką“.

— Dobra myśl... Gdzież się udajesz dla podjęcia tej pracy?

— Do Wenecyi.

— Sam jeden?

— Sam zupełnie.

— Doskonała myśl... — powtórzył krytyk. — Samotność potrzebna dla skupienia ducha. Gounod zamierzając napisać Romea, wyjechał do Włoch. Wenecya odpowiednie miejsce do pracy; niema tam gwaru, lud spokojny, ruch mały. Na końcu Dużego kanału znajduje się ogród zaciszny, w którym marzyciel zapomnieć może o wszystkiem, z wyjątkiem swoich marzeń. Przesiaduj w nim często, a przesuwać ci się będą przed oczyma cienie osobistości, wcielonych w dzieło twoje... Masz słuszność, jedź przyjacielu; czas na to wielki. Należy nam się od ciebie piękny utwór; gotów byłeś zapomnieć o spłaceniu tego długu.

Pierwszy raz odkąd Derstal wszedł do starego autora, ten ostatni nazywał go przyjacielem. Uradowany muzyk zapragnął rehabilitacyi zupełnej; chciał się wyspowiadać szczerze.

— Przychodzę dziś do pana prosić o pobłażliwość jego dla mnie — rzekł. — Wiem, jakie stawiasz mi zarzuty; nie myslę się usprawiedliwiać. Oświadczam tylko, że zamierzam zmienić tryb życia; sądzę, że tem pana przejednać zdołam.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza